

ETHOS

KWARTALNIK
INSTYTUTU
JANA PAWŁA II KUL-
LUBLIN
I FUNDACJI
JANA PAWŁA II - RZYM
Nr 97-98
styczeń-czerwiec 2012

ETHOS SŁOWA

W numerze m.in.

Kard. Gianfranco RAVASI
* Symbol. Między słowem a obrazem
Giovanni SALMERI
* Człowiek i jego życie słowem.

Jacek JĄSTAŁ
* Retoryka jako etyka praktyczna

Dobrosław KOT
* Granice mowy

Dariusz KOŚCIŃSKI
* Kiedy słowo jest żywe?

Maria WOJTAK
* Homilia jako wartość

Adam POTKAY
* Słowo i wiatr

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 9(193) Żelów, wrzesień 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Marka Czuku, Marii Duszki, Zbigniewa Gordzieja, Pawła Kuszczynskiego, Marleny Zynger

Andrzej Dębkowski – *Ech, historia...*

Leszek Żuliński – *Autobiografia?*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Jubileusz, i co z tego?*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności oraz Książka – drogowskaz*

prof. Ignacy S. Fiut – *Od krzyku ku ciszy*

Igor Wieczorek – *Diabła sprawa*

Kazimierz Ivosse – *Pieśń Naszych Korzeni*

Andrzej Bartyński – *Jesteśmy szczęśliwi*

prof. Jan Kurowicki – *Jesień – pora schyłku*

Tadeusz Czerniawski – *Dokąd Liwini zmierzają?*

Rafał Orlewski – *Dialog z milczeniem*

Jarosław Stejskał – *Trzy narzeczone*

Zbigniew Kresowaty – *Chwile – chwila*

D. Ch. – *Obietnica prawdy*

Wydarzenia

Informacje

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna

Kronika



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Informacje

Obietnica prawdy

Słowo jest obietnicą prawdy. To naturalne nastawienie teoriopoznawcze przenika ludzkie życie, umożliwiając jego kulturową ciągłość i powstawanie więzi społecznych, a także nadając sens wszelkiej twórczości. Istotą wpisanej w byt ludzki naturalnej „epistemologii” jest oczekiwanie, że usłyszane słowo, a w istocie każdy komunikat, którego źródłem jest inny człowiek, przekazuje prawdę, informuje o tym, jak faktycznie „rzeczy się mają”, i pozwala na lepszą orientację w świecie we wszystkich jego wymiarach. Człowiek wierzy w obiektywny wymiar słowa, wierzy, że nawet jeśli komunikaty, które do niego docierają, nie są w stanie przekazać mu konkretnej prawdy na jakiś temat, to przynajmniej pozwalają mu się do niej zbliżyć, ustalić, jakie są warunki jej uzyskania, lub ukazać mu, czego nie wie. Nawet gdy natyka się na kłamstwo, także na kłamstwo systematyczne czy wręcz systemowe, jakie przenika systemy totalitarne, pozostaje w przekonaniu, że stanowi ono zaburzenie, że jest czymś, czego być nie powinno, co nie powinno się zdarzyć (notabene nie bez powodu systemy totalitarne starają się przede wszystkim przejąć kontrolę nad słowem). Owa niewzruszoność ludzkiej wiary w słowo objawia się we współczesnym świecie w szczególny sposób chociażby w niezłomności, z jaką ludzie uczestniczą w polityce: mimo powszechnej nieufności wobec słów wypowiedzianych przez polityków, mimo powtarzających się sytuacji, w których zostają przez nich oszukani, mimo swojego oburzenia fałszem w życiu publicznym, ciągle szukają i wybierają tych, w których słowach – jak im się wydaje – jest najwięcej prawdy, nie dopuszczając przy tym myśli, że kłamią wszyscy i że kłamią zawsze. Innym szczególnie rzucającym się w oczy dowodem tej naturalnej ludzkiej ufności wobec słowa jest łatwość, z jaką ulegamy reklamie. Chociaż doskonale wiemy, że wykorzystuje ona techniki perswazyjne, że przemawia do naszych słabości, chociaż podchodzimy do niej z dystansem, doszukujemy się w niej jednak informacji i nierzadko łapiemy się na myśli:

A może coś z tego jest prawdą?

Można by powiedzieć, że ta epistemologiczna ufność człowieka wobec słowa jest zarazem jego epistemologiczną naiwnością, swoistą słabością, i że historia kultury, tak Zachodu, jak i Wschodu, wskazuje, że w codziennym życiu należałoby się raczej skłaniać ku bardziej wyrafinowanym postawom teoriopoznawczym, choćby takim, jak sceptycyzm czy metodyczne wątpienie. Nawet jednak najbardziej dopracowane i teoretycznie zaawansowane prace filozofów starających się krzewić większą „dojrzałość” epistemologiczną ostatecznie nie są w stanie złamać naturalnej dla człowieka ufności, że słowo, które słyszy, przekazuje mu prawdę. Nie udało się to nawet słynnym „mistrzom podejrzania”¹ wobec słowa: Freudowi, Markowski i Nietzsche. Ich obserwacje wprawdzie posze-

rzyły wiedzę o rzeczywistości i ukazały nowe sposoby patrzenia na nią, ale nie zdołały podkopać ludzkiej wiary w słowo – co najwyżej odsłoniły niedostrzegane wcześniej warunki jego interpretacji. Postmodernizm, który z kolei podjął próbę dekonstrukcji słowa i chciał odczytywać je wyłącznie jako postać narracji, zatrzymał się na poziomie – formułowanych w słowach – teorii.

Zarówno wiara, że nie każde słowo polityka to kłamstwo, jak i przekonanie, że z reklamy można się czegoś dowiedzieć, wskazują, że konsekwencją tego naturalnego ludzkiego nastawienia teoriopoznawczego jest łączenie słowa z pewnym dobrem. W tej perspektywie wydaje się, że „słowo”, jak swoista soczewka, skupia w sobie transcendentalia: byt, prawdę i dobro, a także piękno. Słowo przenika bowiem różne formy ekspresji – często słyszymy, że obrazy czy filmy, dzieła sztuki, z którymi tradycyjnie wiążemy kategorię piękna, „mówią”. „Mówi” także muzyka. Człowiek doszukuje się w nich słów lub pragnie w słowach zawrzeć ich przesłanie, ponieważ słowo jest dla niego podstawową jednostką sensu i narzędziem porządkowania obrazu świata.

Ten obiektywny wymiar słowa, z którego trudno się człowiekowi wyzwolić, nie umniejsza

jednak w niczym jego subiektywnego odbioru – nie bez powodu mówi się o potędze metafory, o „miejscach niedookreślonych” w dziełach sztuki, o ich otwarciu na różne interpretacje. Subiektywność słowa pozostaje jednak subiektywnością na tle jego obiektywnego sensu jako znaku. Dlatego wymowne bywa również milczenie i w szczególnych sytuacjach ma ono moc słowa. W Ewangelii Chrystus, do którego przyprowadzono przyłapaną na cudzołóstwie, poniżoną przez tłum mężczyzn kobietę, nie posługuje się wyłącznie słowem, ale też czyni na piasku znaki.

Słowo bywa też bronią w walce ze złem, odsłaniając przy tym osobową godność człowieka.

Chociaż znane szkolne pytanie: „Co poeta chciał przez to powiedzieć?” – pytanie, z odpowiedzią na które od lat zmagają się kolejne pokolenia uczniów, często bywa przedmiotem żartów, u jego spodu kryje się przekonanie o przedmiotowym, intencjonalnym odniesieniu słowa, o tym, że słowo „znaczy”, a przez to komunikuje znaczenie.

Ks. Tadeusz Styczeń powiedziałby zapewne, że odsłania ją każda sytuacja, w której człowiek – poprzez swoje „tak” lub „nie” – opowiada się po stronie prawdy i okazuje sprzeciw wobec fałszu.²

Dokończenie na stronie 24)

PODZIĘKOWANIE

DYREKTOR I PRACOWNICY DOMU KULTURY W ZELOWIE

dziękują

SPONSOROM I PARTNEROM

za życzliwość, wsparcie finansowe i profesjonalną współpracę przy organizacji Dni Zelowa, które odbyły się w ramach imprezy masowej „Dni Zelowa - Dożynki Powiatowe”.

SPONSORZY	PARTNERZY
<p>PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna S.A. - Oddział Kopalnia Węgla Brunatnego w Belchatowie, Urządzenie i Utrzymanie Terenów Zieleni Andrzej Kilańczyk, Fundacja Rozwoju Gminy Zelów, Auto-System s.c. E.Niewiadomski, R.Niewiadomski, M.Szewczyk, P.H.U. Twój Dom Marek Pluciński, P.P.H.U. „CZES-BUD” Czesław Walczak, P.P.H.U. „CECH-MAR” Mariusz Chrzanowski, Poło Market.</p>	<p>Burmistrz Zelowa, Starosta Belchatowski, Urząd Miejski w Zelowie, Starostwo Powiatowe w Belchatowie - Wydział Promocji i Rozwoju Powiatu, Zarząd ZKS „Włókniarz” w Zelowie, OSP w Zelowie, Jednostki OSP z terenu Gminy Zelów, Komisariat Policji w Zelowie, „ELWOJ” Wojciechowsky - spółka jawna, Belchatów, Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Zelowie, spółka z o.o., Szkoła Podstawowa nr 2 w Zelowie.</p>

TADEUSZ CZERNIAWSKI

Dokąd Litwini zmierzają?

(1)

Co jakiś czas rozpala do białości umysły i wyobraźnię konflikt polsko-litewski, a środki masowego przekazu mocno go nagłośniają i tym samym podtrzymują tę napiętą atmosferę. Telewizja co i rusz pokazuje jak polska mniejszość narodowa manifestuje na ulicach Wilna swoje niezadowolone z restrykcyjnych zarządzeń władz litewskich wobec niej. Natomiast najwyższe czynniki państwowe z naszej strony ograniczają się jedynie konstatacją faktu, że stosunki polsko-litewskie są obecnie najgorsze od dwudziestu lat, od czasu uzyskania niepodległości przez nasze kraje i w zasadzie nic więcej nie są w stanie zrobić wobec zdecydowanej postawy Litwy. Co prawda i za czasów prezydentury A. Kwaśniewskiego i L. Kaczyńskiego, kiedy to między głowami naszych państw panowała niemal sielankowa atmosfera, to sprawy mniejszości polskiej nie wyglądały najlepiej i spór w dalszym ciągu się tlił, nie udało się w nawet w najmniejszym stopniu go ugasić i dostarczał coraz to nowych kłopotów obu stronom, starającym się jakoś go łagodzić przy pomocy przyjaznych gestów, uśmiechów i zapewnień, że wszystko jest pod kontrolą i na dobrej drodze, powołane zespoły pracują intensywnie nad rozstrzygnięciem tych trudnych spraw, zgodnie z traktatem polsko-litewskim, zawartym w latach dziewięćdziesiątych. Litwini cały czas blefowali, umiętnie zwlekali, odsuwali w czasie rozstrzygnięcie zasad pisowni polskich nazwisk, sprawę zwrotu majątków ziemskich, należących przed wojną do Polaków, zamieszczania dwujęzycznych tablic ulic, miejscowości, gdzie są największe skupiska naszych rodaków – głównie w rejonach wileńskim i solecznickim. Zapewne zamierzali i dalej prowadzić tę grę pozorów, przeciągania liny na swoją stronę, ale stało się inaczej: nowy rząd litewski – koalicja konserwatystów z faszystującymi nacjonalistami – już otwarcie, bez żadnego przykrycia wyraził swoje credo w stosunku do Polaków na Litwie, które w zasadzie sprowadzało się do tego: żadnych ustępstw, żadnych zmian na lepsze w dotychczasowym statusie mniejszości polskiej, co więcej należy jeszcze bardziej przykręcić śrubę, zwłaszcza w dziedzinie oświaty, ograniczając liczbę polskich szkół i poddając polską młodzież planowej lituanizacji. Aczkolwiek szef rządu litewskiego Kubilius w licznych wystąpieniach podkreśla swoją wielką sympatię do Polski, chęć rozwiązania problemów mniejszości polskiej, to w rzeczywistości jest w tym osamotniony i musi tańczyć tak, jak orkiestra gra. A poza tym, czy jego zapewnienia są szczerze, czy też jak i jego poprzednicy blefuje, gra pod publiczność?

Niektórzy polscy politycy określają ów

konflikt jako taki, który łączy w sobie rzeczy mało ważne, absurd i destrukcyjność. Być może, że tak i jest. Jednak, co nam skądinąd wiadomo, według tego, jak dany rząd odnosi się do mniejszości narodowych, można ocenić stopień demokracji w tym kraju, zakres swobód obywatelskich. A z tym problemem, jak widać, Litwa ma duże trudności i nie jest tajemnicą, że tylko jedynie to państwo w Unii Europejskiej nie pozwala używać dwujęzycznych tablic z nazwami ulic, miejscowości zamieszkałych przez większość nielitewską. Teraz chciałbym zatrzymać się trochę dokładniej na problemach, będących kością niezgody między naszymi krajami.

Pisownia polskich nazwisk na Litwie nie jest tak prostą sprawą jak nam się początkowo wydaje. Otóż w języku litewskim nie ma takich połączeń literowych jak u nas „rz”, „cz”, „sz”, „ch” – one są zastępowane pojedynczymi literami z daszkami „z”, „c”, „s”, „h” i dlatego napisane nazwiska w polskim brzmieniu często będą odczytywane przez Litwinów, że tak powiem, po „litewsku”; ot chociażby dla przykładu słowo „Czepiański” zostanie wymówione przez nich jako „Cezeepiański”, te same trudności nastąpią i z innymi temu podobnymi polskimi nazwiskami. Oczywiście jest znacznie więcej różnic w naszych alfabetach: w, ó, ź, ć, ń itd. w ogóle w języku litewskim nie występują. Jednak nie sadzę, ażeby nie było wyjścia z tej sytuacji, jak to twierdzi strona litewska, i przez całe dwadzieścia lat od podpisania traktatu polsko-litewskiego nie znaleziono rozwiązania, satysfakcjonującego obie strony, nie uzupełniono komputerów litewskich polskimi literami. Zadzwiwiąjące!

Również nie należy nikogo przekonywać, że nazwisko jest własnością danej osoby i ona ma prawo, jak każda należąca do niej rzecz, dysponować według własnego upodobania, ale na Litwie jest inaczej – ono wbrew woli właściciela przybiera odpowiednio litewską końcówkę: - as, -is, -us., co według tak brzmiącego nazwiska pozwala zaliczyć danego obywatela do narodowości litewskiej. Tego rodzaju przeróbki mają wybitnie podtekst polityczny i służą pewnemu, już od dawna zakorzenionemu w tym kraju pogładowi, że pod tymi nazwiskami kryją się w rzeczywistości spolonizowani Litwini, którym teraz trzeba przywrócić należyte „nazewnictwo” i miejsce w społeczeństwie litewskim. W ten sposób władze litewskie starają się zatrzeć w jakimś stopniu wszelkie ślady polskości, pokazać odwiedzającym kraj cudzoziemcom, że Litwa jest prawie w stu procentach jednolita pod względem narodowościowym, o czym przecież świadczą brzmiące po litewsku nazwiska.

Ponoć już były gotowe projekty, przy pomocy których udałoby się rozwiązać ten węzeł gordyjski, dotyczący pisowni polskich nazwisk, ale znów stała na przeszkodzie ustawa o języku litewskim, nieprzewidująca żadnych zmian w dotychczasowej pisowni tego rodzaju nazwisk i żadne ugrupowanie parlamentarne nie odważyło się naruszyć, częściowo ją poprawić. Próbowano w jakiś sposób obejść ten zapis, przechytrzyć, ale to były tylko ruchy pozorne i wszystko się skończyło tylko na dobrych chęciach. Obecnie, kiedy większość w parlamencie litewskim stanowią przeciwnicy porozumienia z mniejszością polską, należy czekać na zbliżające się wybory do parlamentu, które być może zmienią mapę polityczną Litwy na korzyść naszych rodaków.

Z wielkimi oporami przebiega również zwrot ziemi Polakom w pobliżu Wilna, którzy przed wojną byli jej właścicielami. Są to przeważnie grunty, nadające się pod zabudowę, a ich wysoka wartość, sięgająca czasami setek tysięcy litów, a nawet i więcej, mogłaby stać łakomym kąskiem niejednego Litwina. W tym miejscu należy zaznaczyć, że ceny działek w rejonie wileńskim nie są wcale niższe od tych, jakie obowiązują w okolicach Warszawy, a nawet, jak niektórzy twierdzą, są znacznie wyższe. I nieliczni szczęśliwcy, którym udało się wywalczyć w różny sposób grunty ziemskie pod Wilnem stali się nagle bogatymi ludźmi, co wzbudza zazdrość, wręcz oburzenie tamtejszej biurokracji, pragnącej nie dopuścić do szybkiego wysforowania się przed nią zniechęconych „Lenków” (Polaków – po litewsku).

Jak zwykle nie bez znaczenia jest w tym przypadku i aspekt polityczny, a mianowicie: według statystyk, przed wojną w Wilnie i okolicach mieszkało przeszło 80% ludności narodowości polskiej i żydowskiej, a na Litwinów przypadało zaledwie 1%. I nie trzeba mieć zbyt wielkiej wyobraźni, ażeby zrozumieć to, jak fatalne byłyby dla Litwinów dzisiaj skutki całkowitego zwrotu wszystkich majątków mniejszościom narodowym zamieszkujących te tereny i wilniukom przebywającym za granicą. Wilno, bez żadnych akcji zbrojnych, blokady gospodarczej, znalazłoby się znów w rękach Polaków i Żydów, a o tym Litwini doskonale wiedzą i za wszelką cenę starają się powstrzymać tę „inwazję” pokojową tych mniejszości narodowych. Ostatnio pojawiły się oznaki kompromisowego załatwienia tych ziemskich problemów: w zamian za ułatwienia w nabywaniu działek przez Polaków w okręgu wileńskim, mają oni rzec się części – często połowy – im przysługującego majątku na rzecz Litwi-

(Dokończenie na stronie 4)

Dokąd Litwini zmiierzają?

(Dokończenie ze strony 3)

nów. I trzeba powiedzieć, że ten haczyk z przynętą połyka dzisiaj duża część naszych rodaków, bo przecież lepiej mieć wróbla w garści, niż gołębia na dachu. W ten sposób z takiego „zwrotu” ziemi mają korzyści obie strony i ten proces posuwa się, co prawda z pewnymi zgrzytami, jednak do przodu.

Wydawałoby się, że już nie powinno być żadnych kłopotów z wprowadzeniem w życie dwujęzycznego nazewnictwa ulic, miejscowości, zamieszkałych w większości przez Polaków, bo przecież czynność umieszczenia tabliczek przy domach nie jest aż tak skomplikowana technicznie, nie pociąga za sobą wielkich kosztów i wysiłków miejscowych władz, zwłaszcza, gdy to wykonują dobrowolnie sami mieszkańcy. Jednak zacietrzewienie, nieprzejednana postawa Litwinów i tutaj daje się we znaki: władze powołując się na przestarzałą, siermiężną, niezgodną z duchem czasu ustawę sejmową, zabraniają umieszczenia tego rodzaju tablic w miejscach publicznych, pod groźbą kar pieniężnych, nacisków administracyjnych wymuszają na Polakach przestrzeganie tych niegdysiejszych norm. Powstałe niedawno nacjonalistyczne, faszystowskie organizacje młodzieżowe, mocno popularyzowane przez środki masowego przekazu, a zwłaszcza przez telewizję, jeżdżą po polskich wsiach i siłą zdejmują dwujęzyczne tabliczki z domów. Tego rodzaju pożałowania godne akcje są przyjmowane przez dużą część Litwinów z zadowoleniem, z wielką aprobatą, którzy widzą w takim postępowaniu młodzieży przejaw patriotyzmu, zaangażowania w bieżące sprawy kraju i skuteczną obronę przed „wywrotową” działalnością Polaków.

Nie tak dawno sejm litewski większością głosów przyjął nową ustawę oświatową, która w wyraźny sposób ogranicza naukę języka polskiego w szkołach, oraz likwiduje niektóre polskie placówki oświatowe na wsi. Takie przedmioty jak historia, geografia, odpowiednik naszego wosu, dotychczas nauczane po polsku, teraz przejdą na język litewski. Tego rodzaju zmiany Litwini tłumaczą w sposób wielce pokrętny tym, że wszystko to czynią w interesie mniejszości polskiej, gdyż ona nie potrafi w dostateczny sposób posługiwać się językiem urzędowym, co sprawia jej mnóstwo kłopotów z uzyskaniem odpowiedniej pracy w rejonach zamieszkania i pogłębia w ten sposób frustrację, niezadowolenie i musi ona często, między innymi z tego powodu, wyjeżdżać z kraju, przeważnie do Polski. Wynikałoby z tego, że litewski rząd lepiej wie niż oni sami, co potrzebne jest im do rozwoju własnych aspiracji intelektualnych i materialnych, osiągnięcia względnego dobrobytu i udaje wielkie zdziwienie nieprzejednaną ich postawą wobec tak

nowoczesnej, według nich, ustawy oświatowej. Ostre reakcje pod adresem rządu litewskiego naszych najwyższych czynników państwowych spływają po nim jak woda po gęsi, co więcej są przyjmowane jako chęć zranienia, przyciśnięcia do muru, upokorzenia ich narodu, mocno utwierdzonego w swych życiowych racjach, wytrwałego, męznego.

W częstych rozmowach z Litwinami odczuwałem jakiś lęk, obawy z ich strony o to, że Polska wykorzystując niezadowolenie polskiej mniejszości narodowej chce podkopać stabilność kraju, osłabić jego niepodległość i uzależnić od siebie słabszego, poobijanego do krwi, obolałego narodu, który doznał w przeszłości wielu poniżeń i wciąż nie może się z nich otrząsnąć. Przeciętny Polak nieraz zapewne się zastanawia, dlaczego Litwini są nieufni do nich, czują jakąś awersję względem nich? Jednakże jak się uważniej przyjrzymy tym harcom polsko-litewskim, to możemy dojść do wniosku, że wszystko to ma znacznie głębsze podłoże, tkwi ono w historii, z którą Litwini nie mogą sobie w dalszym ciągu poradzić, jednoznacznie swą przeszłość ocenić, uporządkować i starają się często patrzeć na obecne uwarunkowania przez pryzmat dawnych czasów. Może w wielkim skrócie postaram się teraz przybliżyć czytelnikowi z czynniki, które przez wiele lat kształtowały niezbyt pozytywny obraz Polaka i Polski w oczach Litwinów, co i dzisiaj jest wykorzystywane przez obecne, w dużym stopniu nacjonalistyczne, władze litewskie.

Jak wiadomo po zawarciu aktu prawnopanstwowego w Krewie w 1385 roku nasze narody połączyły się w unię, która następnie zostanie wzmocniona w Horodle w 1413 roku, a ostatecznie zespoli dwa narody w jedną całość Unia Lubelska w 1569 roku, co było wyjątkowym zjawiskiem w owych czasach, wpływającym na kształtowanie się zasadniczych zmian na mapie politycznej Europy. Adam Mickiewicz tak oto pisał w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego” o tym wydarzeniu: „I nagroził im Bóg (Polakom), bo wielki naród, Litwa, połączył się z Polską, jako mąż i żona, dwie dusze w jednym ciele. A nie było nigdy przedtem tego połączenia narodów. Ale potem będzie. Bo to połączenie i ożenienie Litwy z Polską jest figurą przyszłego połączenia wszystkich narodów chrześcijańskich, w imię Wiary i Wolności”. I ten związek dwóch państw, pełen zwrotów i gwałtownych zmian, zakrętów przetrwał we wspólnych zwycięstwach i klęskach, w biedzie, nieszczęściach spadających co i rusz na nasze narody przeszło pięć wieków, pozostając fenomenem, niespotykanym w dziejach naszego kontynentu i to jest faktem oczywistym, tylko... nie dla Litwinów.

Już Simonas Daukantas, patron nowoczesnego nacjonalizmu litewskiego, który zapewne znał osobieści Mickiewicza, studiując w tym samym czasie na Uniwersytecie Wileńskim, w swoim dziele „Czyni starożytnych Litwinów i Żmudzinów”, konflikt społeczny między mowiącymi po litewsku chłopami a polską klasą wyższą zinterpretował jako walkę między

dwoma różnymi narodami, o osobnej przeszłości i przyszłości. W tymże utworze natrafiamy na diatrybę, wymierzoną w „ciemne siły tego świata”, które „przy pozorach jedności... mają lud (litewski) w pogardzie”. I te nienazwane „ciemne siły” pozbawiły Litwinów wolności, zakuły ich w kajdany i oddały jako niewolników bandytom. Bez trudu można się zorientować, że „ciemne siły, to polska arystokracja, natomiast bandyci, to carska władza. W późniejszych pismach Daukantas, a w jeszcze większym stopniu jego zwolenników, wina będzie już w zupełności przypisywana każdej osobie mówiącej po polsku. Stworzył on ideologiczne ramy nacjonalizmu litewskiego, który przetrwał po dzień dzisiejszy w mało zmienionej formie. Twierdził również, że upadek Rzeczypospolitej nie wydaje się najgorszym z nieszczęść, zaś znacznie gorsza katastrofa się wydarzyła wcześniej i była skutkiem upadku wolnej, pogańskiej Litwy, przez zawarcie przez nią unii z chrześcijańską Polską. W ten sposób wprowadzenie Litwy w kręgi kultury zachodniej przez nasz kraj było przyjmowane przez nacjonalistów spod znaku Daukantas jako wielce szkodliwe dla narodu, jego tożsamości, dla rozwoju „oryginalnej” kultury pogańskiej, która została w ten sposób kompletnie zmiażdżona i po niej pozostały tylko mgliste wspomnienia. Jeszcze i dzisiaj często odzywają się tego rodzaju głosy, są rozpowszechniane różnego rodzaju broszury, pisemka potępiające polską „ekspansję”- jak to oni określają - na tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego i stopniowe przyłączanie ich do Korony, szukające analogii, podobieństw z tamtymi czasami w dzisiejszych stosunkach między naszymi krajami, ostrzegające przed popełnieniem podobnego błędu historycznego, jaki uczynili ich pradawni przodkowie. Trochę na osobnośniu brzmi głos wybitnego poety, intelektualisty Tomasa Venclowy, którego rozsądne, wyważone rozważania na temat naszej wspólnej przeszłości zyskują ostatnio pewną popularność w kręgach naukowych Litwy, aczkolwiek ten proces wyjścia z zaścianka fascynacji pogaństwem przebiega dość powoli, z oporami, zwłaszcza ze strony starszych ludzi śniących o dawnej potędze i w których jeszcze mocno tkwią pozostałości dawnego nacjonalizmu.

Również są wśród nich i tacy, którzy zajmują pozycję tak zwanego środka. I tak Unię w Krewie przyjmują z przymrużeniem oka, jako akt bezmyślności, wręcz głupoty Jagielly, nie popisują się zbyt afirmacją dawnego pogaństwa, a już znacznie gorzej odnoszą się do następnych aktów państwowo-prawnych w Horodle i Lublinie, zwłaszcza ten ostatni uważają za przejaw pychy Polaków, bezprawnego podporządkowania ich hegemonii obcego kraju, co jak wiadomo nie jest zgodne z prawdą historyczną, którą interpretują jednak na swój, dla siebie wygodny sposób.

cdn.

MNIJ WIĘCEJ (91)



Autobiografia?

Już kolejny taki tomik czytam... O pierwszym na koniec, a drugi istnieje jeszcze w maszynopisie i napisała go Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz. Pomysł jest taki: rok po roku, od roku urodzenia aż po obecny, obrazy własnego dzieciństwa, ale z szerokim tłem i klimatem kolejnych lat, w których dorastaliśmy razem z Polską i wszystkim, co się działo w nas i wokół nas. Osobliwa biografia wewnętrzna i zewnętrzna, wierszowane annały własnego życia z jego pejzażami wewnętrznymi i „eksterytorialnymi”.

LESZEK ŻULIŃSKI

Maria Duszka wydała właśnie taki tomik w serii dwumiesięcznika „Topos” (pismo to – jak wiadomo – zawsze drukuje i dołącza do kolejnych numerów dwa tomiki; książka Duszki ukazała się wraz z numerem sierpniowym). Wiersze są tytułowane kolejnymi latami. Tak więc pierwszy to 1960, potem 1961, 1962 i tak aż do 2010. Ciekawy pomysł, no nie? Nawiasem mówiąc, powinien on być kontynuowany przez autorów co dwie, trzy dekady... – ech, zostawić tak po sobie taką specyficzną, poetycką kronikę całego życia...

U Duszki pierwszy wiersz (1960) brzmi tak: *moja mama / wydała mnie na świat // (urodziłam się / w najokrutniejszym miesiącu // urodziłam się poetką / w rodzinie rzeźnika) // moja mama jest dobra / łagodna / i prostolinijna / jak dziecko // nie mogę jej mieć za złe / że mnie wydała światu natomiast wiersz ostatni (2010) to zapis autorki o jej udziale w niemieckim festiwalu poetów polskich: *Polnischer Sommer / – festiwal chmur i tęcz / przelotnych opadów / i uśmiechów słońca // centrum Hamburga tętniło muzyką / i spokojnie kwitły słoneczniki Szlezewiku // przeciw cieniom samolotów / w Bundesfeiertag // na przekór szalonemu wiatrowi / na nadmorskich wrzosowiskach // przeciw odwiecznej polsko-niemieckiej / – nasza pokojowa misja poetycka*. Tak wygląda ta*

„klamra”, te ramy „sprawozdania” z 50-letniego życia...

Cymes jednak – moim zdaniem – kryje się nie w tych dwu wierszach, lecz w wielu, które między nimi... Zaskakujące zapisy, konstatacje, refleksyjki, wielokrotnie zupełnie „drugorzędne” impresje i wspominki, ale właśnie oddające „interior” pamięci i smakowite drobiażdżki, z których składa się całe nasze życie, ech!, życie... Np. rok 1979: *z czego / składa się / samotność? // z pustki*. Albo rok 2006: *co się stało z naszą szkołą? // puste klasy / wybite szyby / – wygląda jak po wojnie // nienaruszona stoi tylko / ta metalowa barierka / na której po raz pierwszy / pocałowałeś mnie / nie całując*.

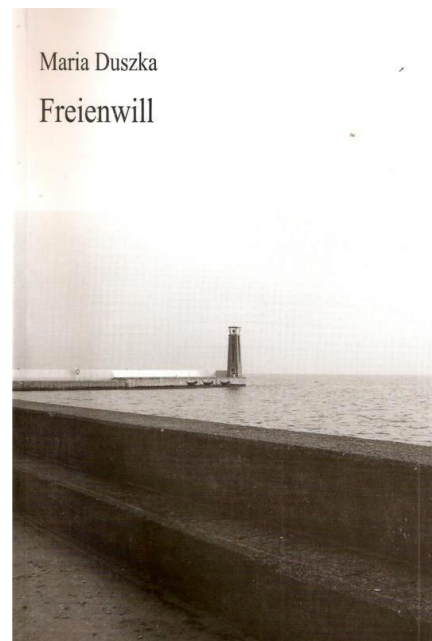
Dominują epigramaty. To dobrze – przebłyski, okazujące się po latach czymś ważnym. Takie *szumy, zlepy, ciągi*, a w tej potłuczonej mozaice czas czasami umie przegłądać się najlepiej. I – czytając ten tomik – nieustannie pamiętajmy, że nie jest to historia półwiecza, lecz osobista historia „epizodów”, a z nich, właśnie z nich składa się na ogół coś więcej niż „biografia uporządkowana” i faktograficzna.

Nie chcę tego tomiku przeceniać, nie chcę twierdzić, że Duszka jest w ścisłej czołówce swoje pokolenia poetyckiego. Jednak napisała coś, co zrobiło na mnie wrażenie. Sparafrazuję słowa pewnego poety: to był strzał, który poderał we mnie chmarę śpiących wróbli! Dlaczego? Otóż czytam coraz więcej tomików prześcigających się w „nowej dykcji”, szukających skomplikowanych struktur słownych, wyszukujących odniesień i skojarzeń, które konieczne trzeba znać, żeby wiersz zrozumieć. Szyfry są coraz bardziej skomplikowane, niepowtarzalne i nie do końca czytelne nawet dla wyrobionego czytelnika. Nie mam, oczywiście, nic przeciw tym poszukiwaniom, ale też sądzę, że częstokroć dajemy się nabierać „nowej dykcji”, bowiem „nie wypada” udawać, że jej nie rozumiemy. Ostatnio przeczytałem kilka tomików, które uważam za dobre, jednak nie chcę o nich pisać tylko dlatego, że jest mi obcy ich timbr, ich język tak osobny, że aż nazbyt osobny, bym się z nim utożsamiał. Mody życia literackiego wyzwalają bezkrytyczną na nie modę. We mnie z tego powodu narasta tęsknota za prostotą, a prostota – jak wiadomo – nie oznacza prostactwa. Kwestia „języka osobnego” to też zresztą pojęcie względne. Czyż nie miał go np. Grochowiak? I on do dzisiaj jest bardziej rozpoznawalny w poezji tamtego czasu niż osobni na słońcach swych autorki nowych roczników.

Maria Duszka dała sobie spokój z tego typu ambicjami. Czy tym samym przekreśliła swoje szanse? Ależ nie! Ten tomik przekonuje swoim autentyzmem, subtelną refleksyjnością i subiektywną siłą wyznań. Na jego drugim planie są zaś – o czym już wspomniałem – reminiscencje świata obiektywnego, tego, który towarzyszył naszemu życiu, czy chcemy tego, czy nie. Duszka zawierzyła najdalej idącej prostocie, „mówieniu wprost”, mówieniu „tak po prostu” – i to mnie ujęło.

I jeszcze jedno: to już siódmy zbiór wierszy tej autorki. Jest on poniekąd i być może reakcją

na tomik Marka Czuku pt. *Forever*, który także ukazał się nakładem „Toposu” (w roku 2010). Krzysztof Kleszcz pisał o nim: *Powstała specyficzna autobiografia – migawki, chwilomyśli. Właściwie – proza życia, która staje się poezją, dopiero wtedy, gdy pojawi się w naszym umyśle konstatacja: „tamten świat uleciał, blahe to nasze życie”*. Myślę, że po książkach Czuku, Duszki i zaanonsowanej tu Tomczyszyn-Harasymowicz pomysł już nie powinien być kontynuowany przez innych. Ta trójka zrobiła sporo, inni naraziliby się na epigoństwo. Choć warto się nie bać powrotu do prostoty – ona nigdy epigoństwem nie będzie!



Maria Duszka *Freienwill*, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2012, s. 62.

Maria Duszka

1964

mój wujek
kiedyś stanie się alkoholikiem
i zobaczy demony

teraz
jest młody
dużo mówi
ma bezbronną twarz
i otwiera serce

pewnego słonecznego dnia
zbyt szybko wjeżdża końmi
na ścieżkę na której stoję

widzę nad sobą kopyta
a potem
nic nie pamiętam



Marlena Zynger

wiosna

wznoszę się lekko

otwieram dłonie
prężą się palce
dreszczem zbudzone
oddech przenika
ziemię i ciało

pragnę tak bardzo
wciąż mi za mało

iskrzą się oczy
chłonąc promienie
z łąk lasu nieba
pierwsze westchnienie
soczystą zieleń
lazur spieniony
kwiecie pstrokate

lecę wśród woni

pąków obrzmiałych
traw tchem zroszonych
zapach mnie pieści
tuli u skroni
drży przestrzeń wokół
faluje ciało

jednak czegoś brak mi
czegoś wciąż za mało

pośród szeptów liści
i igieł zielonych
w mrokach blaskach krzewów
oraz drzew natchnionych
unoszę swe myśli
i spragnione ciało
na oparach wiosny

i ulegam czarom

zmienna niczym ona
uległa zwiedziona
oddają się wnिकam
cała przenikniona
wznoszę się rozpadam
łączę w dziwną całość

i już wszystko jedno
czy dużo czy mało

do-tykanie

zegar tyka
ty dotykasz mnie

lekko czule czas się krząta
po pokoju po zakątkach
krąży oddech ducha ciała
w rytmie gestów słów zegara

słychać tylko oba drgania

głos serc naszych i tykania

wśród emocji mocnych bicia
pocałunków czas umyka
nazbyt szybko chwila mija
cieniem mieni
światłem znika
jak Moneta tafla wody
tak muśnięcie twe wibruje
i zostaje w snu dotykach

pulsem płynię czas jednaki
fala głosów krwią przemyka
pełna ciebie tkwią w zamknięciu
jak płacząca w Muncha szkicach

zegar tyka
serce bije

mimowolnie pęta szyję
stopy uda biodra dłonie
obezwładnia pragnień goniec
bezimienny i bez twarzy
echo czasu myśli marzeń

pierś faluje zamysłona
poprzez dotyk w ruch wprawiona
cicho mówi zegar życia

serce słucha
ty dotykasz

lato

letnie południe przyszło i trwało
dzierząc dojrzałą jabłka osłonę
wionąc gorącem w jableczne ciało
tkwiące bez ruchu drzewa scukrzzone

ciężkim oddechem ziemia sapała
świerszczy odwołki dźwięczały drganiem
złotem iskrzyła zieleń obrzmiała
owoc kolorem grał o przetrwanie

powietrze gęsto powlekleo hałas
niczym opary płomień natchniony
mimo zduszenia moc trwała cała
by wśród przesyków tlić się i wonieć

echem spełnienia co chwilą być może
gdyż wbrew natury ciągłym dążeniom
w swej bezsilności tkwiąc ma w pokorze
by robak mógł drążyć owoc nad ziemią

tak lato trwało żarem kipiące
cała pęczniałam obfitym tleniem
i jak jabłonie w sadzie rosnące
oczywistości dźwigałam brzemień

babie lato

późnego południa esencją powiało
perfumą zapachów zebranych w przeszłości
dobranych uważnie z należytą aurą
bukietem dotyków skojarzeń wielości

powiewem naparzu z zioła doświadczenia
kwiatowo żywiczno korzennego łącza
uwodziło mocą jakby od niechcenia
pragnąc naprzemiennie chłodu to gorąca

gładząc lekkim blaskiem i drażniąc cierniami
w kolorach zmienności mieniło się skrycie
wiodło lato późne lasem polanami
gdzie złoto czerwienie i pajęczne nicie

czasem spoczywało w chwiejnym
zawieszeniu
pośród igieł liści kwiatów polnych kłaczy
istnieć pozwalając mglistemu wspomnieniu
to znów światłem gnało wśród drzew
krzewów pnączy

tak południem późnym lata schyłku
tchnieniem
świadoma swego ciała umysłu istnienia
czarowałam miodem dziegciem
i westchnieniem
bawiłam się życiem bez łąku bez drzenia

Paweł Kuszczynski

Polskie Euro

Przychylne fale nieustająco zderzały się
z brzegami stadionów:
radość życia znalazła miejsce
nie tylko dla swoich.
W jedni pragnień powróciła solidarność.
Miliony widzów teatru
dwudziestu dwóch aktorów,
oddanych bez granic,
jak miłości prawdziwej,
swojej jedenastce z orłem na piersi,
który zdążył na czas przylecieć.
Ekspresja mięśni oraz mimiki,
rozedrgane ciała, transparenty –
przypominające, że jest Ojczyzna,
twarze serdecznymi barwami pomalowane,
stroje na jedyną okazję.
Oczy bez przerwy chcą wiedzieć
na czyją nogę spadnie czarodziejska kula,
zawieszona w przestrzeni walki.
Dusze trwają w ciszy oczekiwania:
wreszcie piłka zatrzepocze w siatce rywali –
zabłyśnie upragniona złota rybka.
Zagubieni gracze nie biegają
po arenie jak młode herosy,
bramkarz zostaje wybawieniem,
przynosi ratunek na krótką chwilę.
Chęci *wyjścia* nie wystarczyła
celna główka i jeden wolej.
Marzenia nie lubią remisów,
o zdumiewającej przegranej
wspominać nie należy –
gdzieś zagubiło się zwycięstwo –
nadal nie wygrywamy wojen.
Zawołanie *biało-czerwoni*
gaśnie jak echo w krajobrazie
ciągle zielonych nadziei.

Wiosenna jabłoń

Podziw i wdzięczność
odpowiedzią kwiatowej ścianie.
Bezwiednie wchodzę w nią,
by być w bieli piękna.
Odnaleźć wiarę i nieść
pewność do czasu zbiorów,
gdy mnóstwo żółknących owoców
przesłoni liści zieleni.
Przyjdzie pora dzielić się.
W dostrzeżeniu chwil darowanych
potwierdzone trwanie.

Zauważenie

Są takie miejsca, których
nie sposób pominąć
w wędrówce życia:
Dom Księgarza przy Starym Rynku,
gdzie na zawsze
zamieszkała książka.
W gruncie rzeczy to szczęście
samo przychodzi:
z hotelowego okna,
otwartego na wschód,
podziwiałem wstawanie słońca.

*Dom Polonii w czasie
40. Warszawskiej Jesieni Poezji*

Marek Czuku

333

moją ojczyzną jest abstrakcja
dopieszczana mądrze liczbą

która rodzi inne abstrakcje
jak dzień człowiek litera

jak pół przekornego diabła
i zawsze święta trójca

to mniej więcej tyle co
trzy ćwierci do śmierci

ciemne dźwięki

po co to wszystko można by
wyrzucić te żywe oczy

by nie świeciły przykładem
i tak dalek aż do litego noża

zbyt wulgarnego po co te
cięcia światła i ciemne dźwięki

jakby nie nastrój był ważny
ale czarno-biała puenta

wojna

odkrywam was
słyszę odgłosy walki

nikt nie jest moim wrogiem
nie jestem wrogiem nikogo

druga strona wyolbrzymiona
nie mam ochoty jej dotykać

do ludzi podchodzę pozytywnie
nawet do siebie

cienie

czy to twój cień
czy dym z papierosa

czy to noc czy dzień
miłość czy sen

czyj sen twój cień mój
cierń – czy to ty czy ja

kto to ty kto ja
my to my – dym

człowiek ziemia

to tylko krzyk – piąte
miejsce po przecinku

dziesiąta woda po kisielu
człowiek który wyzwolił

małąpę człowiek ziemia
woda powietrze nie pytaj

nie sądz nie potępij
czuj – to tylko śmierć

Rilke

małe jest to co zwyciężamy
a wielkie to co nas zniewala

nędza upadek echo wojny
głębia potęga straszny anioł

wzrost doświadczenie dary znikąd
szlachectwa twory wyobraźni

piekielny stos cierpienia koniec
wielka jest śmierć i płacze w duchu

Mandelsztam

jak zbity pies w strasznym śnie
widmem jestem – nie ma mnie

na szyi wiązą troki
tłuste palców robaki

druga rzeczka – spaszę wszy
to karalucha czy

woroneż – wrona i nóż
dno nędzy ma anny twarz

widok na plażę, sopot

siedmiu barw symfonia
za bardzo dużo bzu

czarna cichnie ręka
wiadro złotej zupy

błękitne białe czerwone
faluje molo i niebo

każdemu śni się swój obraz
niebieskie żółte i otchłań

Zbigniew Gordziej**Pamięć**

Podąża za granicę świadomości
nie chce być na postronku życia
kiedyś skora do trwania
błyskotliwa
dobrze radziła sobie
z grudami dni codziennych
teraz obolała krzywdą
słowami niegodziwymi
obumieraniem tkanek
cierpieniem
godzi się bezwarunkowo
na funkcję giermka Czasu
Pamięć to znikający punkt
który ocienioną drogą podąża
ku osamotnieniu

Teoria sprzeczności

Rozpanoszyły się w nas myśli
łamią zasady
intencje
jak tu pogodzić dobroć ze złem
będę z bytem bogactwo z prawem
miłość ze zdradą zazdrość z przyjaźnią
jak wypowiedzieć słowo wybaczam
kiedy w głowie noże i szubienice
co począć z zemstą gdy zalecane
nadstawienie drugiego policzka
jak podać rękę drugiemu
kiedy zgoda proteżę
Jesteśmy skazani na gonitwę myśli
z rzezią w roli głównej
bo przecież nie zagoszczą w nas anioły
i nie możemy oczekiwać
że życie zablizni rany prawdziwe i te
urojone
Żeby przetrwać na trzeciej planecie
trzeba biegle władać teorią sprzeczności

JAROSŁAW STEJSKAŁ

Trzy narzeczone

JANINKA

Wielu chłopców w moim wieku już w piątej klasie szkoły podstawowej miało swoje sympatie. W klasie „A” było wyjątkowo wiele ładnych i sympatycznych dziewcząt. Marysia, nazywana często przez mamusię Maryską (córka nauczycielki od matematyki), nie była zbyt szczupłą dziewczyną, ale też nie darzyła szczególną sympatią kogoś z kolegów. Starła się być miłą dla wszystkich chłopców w klasie. No, może kilku nie uwielbiała, którzy wyróżniali się brutalnością lub złym zachowaniem. Któregoś dnia nieoczekiwanie zostałem wyrwany do tablicy, nie pamiętam, w której to było klasie, w celu sprawdzenia zapamiętania tabliczki mnożenia. Nie byłem zbyt biegły w tym względzie. Marysia siedziała w pierwszej ławce i ukradkiem próbowała mi pomóc wyjść z opresji. Mama kilkakrotnie zwracała uwagę córeczce, aby zaniechała podpowiadania, ale ta i tak znakami migowymi usiłowała mi pomóc w zgadywance. Choć tego nie okazywałem, byłem jej jednak wdzięczny za pomoc do końca szkolnej znajomości.

Pewnego razu chłopcy mieli wyjątkowo głupie pomysły. Nie pamiętam, co było tego przyczyną, ale było już po przerwie, gdy chłopcy zaczęli się gonić i skakać po ławkach. Podobnie, jak w wielu innych szkolnych wybrykach i tym razem byłem uczestnikiem tych skoków. Nieszczęście zdarzyło się takie, że potknąwszy się spadłem na Marysię, inną niż ta, co siedziała w pierwszej ławce. Marysia uległa znacznemu potłuczeniu i z płaczem wtułiła się w ławkę. W tym też momencie weszła nauczycielka do klasy. Drżałem ze strachu, bo moja wina była bezsporna – raz, że skakałem po ławkach, a po drugie, to sprawiłem boleść koleżance. Na wielokrotne pytania nauczycielki o powód płaczu, Marysia nie odezwała się ani słowem. Cała klasa spoglądała na mnie i nauczycielka zorientowała się szybko, kto jest sprawcą nieszczęścia uczennicy. Ponieważ Marysia ze łzami w oczach nie podała przyczyny płaczu, lekcja potoczyła się normalnym tokiem. Byłem nie tylko wdzięczny Marysi za uchronienie mojej skóry, ale byłem także pełen uznania dla jej moralnej postawy. Nie potrafiłem jej tego wprost powiedzieć, ale z wielkim szacunkiem odnosiłem się do niej do końca znajomości.

Ponieważ ojciec Marysi miał salon fryzjerski, więc dość często zaglądałem do tego zakładu, nie tylko w celu ostrzyżenia włosów, ale także, aby przy tej okazji zobaczyć najlepszą młodą koleżankę. Raczej nie udawała mi się ta prowokacja, ale ojciec Marysi darzył mnie dużą uprzejmością. Marysia, wysmukła i szczupła dziewczyna, z ładnie przystrzyżonymi włosami, podobała się chłopcom, choć ona sama nie wyróżniała nikogo z kolegów, i dlatego też szczególnie byłem usatys-

fakcjonowany jej postawą.

Były w klasie jeszcze dwie koleżanki nierozłączki, a była to Ala i Janinka. Ponieważ one jak i ja byliśmy wyznania ewangelickiego, więc z nimi miałem więcej niż z innymi kolegami kontaktów pozaszkolnych. Chodziliśmy wspólnie na lekcje religii do miejscowego kościoła. Ala, może nie tak zdolna, ale bardzo pracowita, zawsze czystuśko ubrana i odprasowana, nie zwracała uwagi na wybryki chłopców. Zawsze z dala trzymała się od klasowych niestosownych pomysłów. Zawsze też pewna swoich poglądów. Do lekcji jak zwykle była przygotowana, spokojna, tak więc nie miała nigdy żadnych szkolnych kłopotów. Jak się później okazało, nie tylko Ala, ale wyjątkowo wielu uczniów z tej klasy, polubiło zawód pedagoga.

Koleżanki i koledzy Janinki: Lilka, Ala, Władek i Jenda, mieszkali blisko siebie, na początku ulicy Piotrkowskiej w Żelowie, nie daleko kościoła ewangelicko-reformowanego, zwanego tutaj kościołem czeskim. Nazwa taka wynika z tego, że większość wyznawców Zboru była potomkami Braci czeskich, emigrantów z XVIII wieku.

Janinka mieszkała nieco dalej, także przy ulicy Piotrkowskiej. Ładny, piętrowy dom jej rodziców usytuowany był z dala od drogi, z wielkim ogródkiem przed zabudowaniami. Kilka razy z koleżankami Janinki odwiedzałem ten dom. Mama spokojnego usposobienia, nie przeszkadzała nam w pogawędkach, które zwykle prowadziłem w kuchni. Byłem zachwycony nowoczesnością tego domu. Do wewnątrz budynku była doprowadzona woda. Był nawet hydrofor, choć napędzany tylko siłą ręcznych mięśni. Mało, który dom mógł się poszczycić takimi udogodnieniami. Za wyjątkiem dziwacznej studni, z wielkim żelaznym kołem i korbą do jego obracania, znajdującej się przy nowej plebani ewangelickiej, nie znałem podobnego rozwiązania technicznego w tym miasteczku. Podczas jednych z odwiedzin, w dzień pochmurny, w pewnej chwili słońce zajaśniało do pomieszczenia. Wysoki pokój ożywił się radością w promieniach słońca, a solidne drzwi zajaśniały piękną bielą. Byłem zachwycony tym widokiem.

Ojciec Janinki, podobnie jak mój ojciec zajmowali się tkactwem, dlatego też spotykali się dość często, mieli wiele wspólnych tematów do pogawędki.

Pewnego razu, pod dom Janinki, przyjechała na rowerze korpułentna akuszerka z wielką skórzaną torbą. Wiedzieliśmy, że mama Janinki spodziewa się dziecka. Pobiegliśmy pod dom i w ukryciu pod oknami czekaliśmy na pierwszy krzyk dziecka. Niestety, zdenerwowany tata, który krążył wokół domu, udaremnił nam dalsze nasłuchiwanie.

Nie wiadomo czyj to był pomysł, ale przez kilka kolejnych długich przerw między lekcjami, kilku kolegów, w tym i ja, wyskakiwaliśmy na

dwór przez okno usytuowane w tylnej części szkoły. Biegaliśmy na nie odległe od szkoły pole ze świeżą, czerwoną marchewką. Nadziani marchwią za pazuchą koszuli, wbiegaliśmy do szkoły. Wesoła ta zabawa wkrótce się skończyła. Pani Mikowa, bo tak się nazywała właścicielka poletka, dostrzegła złodziejasków i poskarżyła się w szkole. Szybko rozszyfrowano nieuczciwych uczniów i pan Engel skutecznie zadziałał w klasie. Wszyscy uczestnicy eskapady z zawartością marchwi za pazuchą musieli wystąpić na środek klasy. Każdy musiał tak długo stać na środku klasy, dokąd nie skonsumował całej zawartości posiadanej marchwi, oczywiście wraz z natką, a natka była pokaźnej wielkości. Kara ta była w skutkach dotkliwa.

Nie zwracałem szczególnej uwagi na dziewczyny, aż któregoś razu, mama po powrocie z targu, który odbywał się każdej środy, podzieliła się uwagą z ojcem – „jakie są ładne koleżanki w Jareczka klasie i jakie już mają ładne piersi!” Teraz dopiero zwróciłem uwagę na ten szczegół u dziewcząt. Podobała mi się w klasie Janinka, ale ta była wyniosła i nie zwracała na mnie uwagi, tym bardziej, że nie byłem wyróżniającym się pilnością uczniem w klasie. Jak już wspomniano, rodzice moi, jak i rodzice Janinki, zajmowali się tkactwem. Była to produkcja chałupnicza i wymagała zaangażowania całej rodziny. Po zajęciach szkolnych grałem z chłopcami w piłkę, lub też inną zabawę, na sąsiedniej ulicy, na tak zwanym Rogozinie. W każdej wolnej chwili byłem przywoływany do prac pomocniczych w przygotowaniu osnów tkackich. Choć byłem sprytny w tych zajęciach, to wefowanie, czyli przewijanie przędzy z kopek na motki, było dla mnie wyjątkowo nudne i uciążliwe. Nierzadko musiałem też na kołowrotku związać szpule lub też pomagać ojcu w snuciu osnów. Na naukę więc nie zbywało wiele czasu, a w ślad za tym i wyniki w szkole były mierne.

Dziewieczny oczywiście chętnie spoglądały na chłopców wysokich, dobrych uczniów, szczerze ubranych, a ja temu byłem właściwie zaprzeczeniem. Nie miałem z tego powodu kompleksów, ale zawsze drżałem podczas zakończenia roku, czy otrzymam świadectwo szkolne promujące przejście do następnej klasy. Dzień otrzymywania świadectw ukończenia klasy był dla mnie prawdziwą udręką, a ponieważ moje nazwisko kończyło się na daleką literę w alfabecie, więc zniecierpliwienie osiągało szczytu. Jakoś mi się to udawało, za wyjątkiem pierwszej klasy, gdy nie przepisałem, w czasie wakacji, zeszytu z języka polskiego, co było warunkiem zaliczenia roku. Być może, to za karę musiałem potem tak długo chodzić do szkoły, aby ukończyć dwa fakultety.

Ponieważ wraz z kilkoma uczniami z naszej klasy uczęszczaliśmy wspólnie na lekcje religii, a potem na lekcje przedkonfirmacyjne, dlatego też

byliśmy w większej zażyłości. Oczywiście największą sympatią darzyliśmy Janinkę i Alę, dobre uczennice w naszej szkole. Aby podnieść swoją reputację wśród wyróżniających się dziewcząt, nawet kilka razy wspólnie odrabiałem lekcję z Jarkiem, synem miejscowego pastora. Oceny z wypracowań klasowych, w wyniku tej pomocy były korzystniejsze, ale i to nie wpłynęło na lepsze uznanie wśród dziewcząt.

Szybko mijał czas. Ukończyliśmy wszyscy szkołę podstawową i koleżeńskie przyjaźni znacznie się rozluźniły. Większość uczniów kontynuowało szkołę w Łasku lub Łodzi, ponieważ w tutejszej miejscowości były tylko dwie szkoły podstawowe. Na niedzielę uczniowie szkół wracali do rodzinnego Zelowa, ale dawne koleżeńskie przyjaźni stawały się coraz słabsze. Z biegiem czasu, Janinka podobała mi się coraz bardziej, ale jej charakter utrzymywania dystansu koleżeńkiego nie uległ zmianie. Kiedy, pewnego razu na jakiś żart, którym chciałem zwrócić uwagę na moją osobę, odpowiedziała – „głupek” – bardzo mnie to uraziło. Długo przeżywałem ten afront ze strony osoby, którą darzyłem szczególną sympatią. Janinka po ukończeniu podstawówki uczęszczała do szkoły pielęgniarskiej w Łodzi i od tej pory mało włączała się w życie młodzieży ewangelickiej skupionej w związku zwanym „Sdrużeni”. Wkrótce też Janinka wyszła za mąż za felczera z Pożdżenic. Wraz z przyjacielem, Pepikiem (Józefem), byliśmy na ślubie naszej wspólnej koleżanki. Janinka krocząc od ołtarza, wraz z poślubionym małżonkiem, ukradkiem spojrzała w naszą stronę. Dokładnie zauważyłem to spojrzenie. I to było chyba ostatnie przyjacielskie spotkanie zamykające wieloletnią naszą znajomość.

LILA

Lilka, szkolna koleżanka, chodziła do innej szkoły podstawowej niż ja i była także dobrą przyjaciółką zarówno Ali jak i Janinki. Ponieważ mieszały blisko siebie, więc były takie trzy nierozłączki. Ojciec Lilki był daleko spokrewniony z moją mamą, dlatego też mówiłem na niego wujek. Zarówno ojciec jak i matka Lilki byli z wykształcenia pedagogami i uczyli w tej drugiej szkole, do której uczęszczała ich córka. W rodzinie Lilki były cztery córki, a ponieważ było to małżeństwo wyznaniowe mieszane, jak sugerują wtajemniczeni, gdy jedna córka była chrzczona w kościele ewangelickim, to druga w katolickim. Ja nigdy nie zgłębiłem tej tajemnicy. Dla naszej szkolnej paczki to nie miało żadnego znaczenia. Rodzina Lilki mieszkała w ładnym domku z dużym ogrodem i tam też odbywały się nasze wspólne szkolne zabawy. Do kompanii przyłączał się najczęściej Jenda (Janek), kuzyn Ali oraz Władek. Najczęstszą zabawą była gra w chowanego. Terenu do tej zabawy było wyjątkowo dużo, a i dużo było różnych pogawędek w altance, która stała pośrodku ogrodu. W roku zakończeniu szkoły podstawowej przez Lilkę, rodzina wyprowadziła się do Chechła. Ojciec Lilki, Wilhelm, przystojny i elegancki mężczyzna, został kierownikiem szkoły w Chechle, a mama uczyła

muzyki i śpiewu w tej samej szkole. Kierownik szkoły otrzymał w bezpłatne użytkowanie ziemie orną wraz z inwentarzem. Konieczność wyżywienia i ubrania czterech córek, tym bardziej, że trzy z nich kontynuowały naukę w Pabianicach i Łodzi, zmuszało rodziców do podejmowania się pracy, nawet tej, do której nie przywykli.

W okresie wakacyjnym odwiedzałem z Janieką koleżanki w Chechle. Ojciec Lilki częstował nas najczęściej kompotem z agrestu i to w takiej ilości, że nabieraliśmy zniechęcenia do tego napoju. Kilka razy też wybrałem się do odwiedzin Lilki motorowerem, będącym własnością mojego ojca. Choć od Zelowa do Chechła jest odległość około 35 km, to przy szybkości średniej około 30 km na godzinę, podróż taka była bardzo uciążliwa. Ponieważ w tym czasie ojciec był członkiem Spółdzielni Tkackiej w Dobroniu, odległym trzy kilometry od Chechła, więc też chętnie wyręczałem rodziców od załatwienia spraw pracowniczych w tej instytucji.

Przypadek zdarzył, że ja uczęszczałem do szkoły średniej mieszczącej się w Łodzi przy ulicy Nowotki 105 (obecnie Pomorska). I tam też mieszkalem w internacie. Po południu, w tym samym budynku szkolnym, odbywały się zajęcia Technikum Farmaceutycznego, którego uczennicą była Lilka. Ta sytuacja ułatwiała nam, od czasu do czasu, spotkania na terenie szkoły. Kilka razy też razem podróżowaliśmy do Chechła. Z uśmiechem wspominam ten czas, gdy na Dworcu Kaliskim obowiązywały peronówki dla osób odprowadzających podróżnych. Nigdy nie grzeszyłem dostatkami gotówki, dlatego też poważnie udawałem podróżnego z biletem kolejowym, oczekującego na odjazd pociągu, aby ukradkiem przemknąć przez bramkę kontroli peronówek. Lilka podziwiała każdorazowo mój stoicki spokój zmylenia kolejowego służbisty. Były to zawsze koleżeńskie odwiedziny rodziny w Chechle. Ponieważ nie mieliśmy bliższej rodziny w Polsce, dlatego też utarło się, że Pan Wilhelm jest moim wujkiem. Tak też tytułowałem kierownika szkoły w Chechle.

Szybko mijał czas i ja po ukończeniu szkoły średniej rozpocząłem studia na Politechnice Łódzkiej, Lilka natomiast podjęła studia farmaceutyczne na Akademii Medycznej. Nasze spotkania w Chechle, choć rzadziej, ale też się odbywały. Pewnego razu przyjechała do moich rodziców znajoma z Czechosłowacji, która również była w odwiedzinach w Chechle. Ona to wówczas zasugerowała możliwości zawarcia głębszych znajomości, nie tylko koleżeńskich, Jarka z Lilką. Nie brałem tej propozycji poważnie, ale jakieś ziarno zostało zasiane.

Podczas jednych z odwiedzin kuzynki w Chechle, był tam również obecny przyjaciel Lilki. Kolega ten, student medycyny, przygotowywał Lilkę do udziału w Festiwalu Piosenki w Opolu. Widocznie był to uzdolniony muzycznie przyjaciel, który akompaniował Lilce na pianinie i układał teksty piosenek, a w ogóle to mocno ubiegał o względy Lilki. Nie słyszałem, aby występy w Opolu zakończyły się większym sukcesem, ale sam już udział w imprezie, był jakimś wyróżnieniem. Obydwoje byli także członkami

akademickiego kabaretu „Cytryna”. Jak mi wiadomo znajomość ta trwała przez wiele lat, ale nie zakończyła się węzłem małżeńskim. Kolega Lilki znalazł nową przyjaciółkę i z nią związał swoje dalsze losy.

W okresie studenckim byłem również i ja członkiem akademickiego chóru działającego przy Politechnice Łódzkiej. W okresach wakacyjnych studenci zespołów muzyczno-teatralnych wyjeżdżali na wspólne obozy wycieczkowe. Jeden z takich obozów odbywał się w Piechowicach Dolnych i tam także, ku mojej radości, spotkałem Lilkę z zespołem „Cytryna”. Lilka zawsze darzyła mnie dużą sympatią koleżeńską, więc też radośnie spędzaliśmy obozowy czas. Na obozy jeździłem z gitarą, choć słaby był ze mnie grajek, znałem zaledwie kilka chwytów gitarowych, potrafiłem wydobyc z instrumentów niewiele akordów, ale Lila z rozkoszą przedstawiała mnie swoim koleżankom, z czego byłem dumny i szczęśliwy.

Ponieważ obóz był w lesie oddalonym od osiedli, postanowiliśmy ucywilizować się i pojechać do najbliższego miasteczka. Oczywiście nasza podróż miała się odbyć „Auto - stopem”. Dlatego też Lilka, ładna, przystojna dziewczyna, stanęła na wabia przy drodze, a ja byłem ukryty w pobliskim lesie. Zatrzymał się kabriolet na widok ładnej dziewczyny, ale gdy zauważył moją obecność, nacisnął na gaz i odjechał z piskiem opon.

Byliśmy również na wspólnym obozie na Mazurach i to chyba nawet dwa razy, i ten pobyt, pod okiem przyjaznej kuzynki, zawsze miło wspominam.

Po zakończeniu studiów rozluźniły się nasze znajomości towarzyskie. Przypadkowe były tylko spotkania na ulicach Łodzi, czy też na niespodziewanym skrzyżowaniu dróg urlopowych nad polskim morzem. Odwiedzałem kilka razy kuzynkę na terenie Akademii Medycznej, gdzie była asystentką na Wydziale Farmacji. Prowadziła tam badania nad lekami przeciw nowotworom. Korzystałem wówczas z pomocy doświadczonej przyjaciółki w zakresie mojej pracy zawodowej.

Ja założyłem swoją rodzinę z koleżanką szkolną Lilką, a Lilka wyszła za mąż za dawnego jej znajomego z Pabianic. Nie było to szczęśliwe małżeństwo dla Lilki. Kolega z Pabianic był zabawowy, ale jednocześnie często zaglądał do kieliszka.

Mimo wielkiego zawodu małżeńskiego wytrwała w tym związku do końca ziemskiej wędrówki. W ostatnich dniach długiej choroby prosiła mnie o spotkanie, z chęcią zwierzenia się z pewnych tajemnic. Z powodu niespodziewanego przybycia siostry oraz koleżanki, w czasie moich odwiedzin, nie doszło do odosobnionej przyjacielskiej rozmowy. Całą tajemnicę zwierzeń ukochana kuzynka zabrała ze sobą do niebiańskiej krainy.

HALINKA

Sezon studenckich pieszych wędrówek rozpoczął się zwykle Rajdem Kwitnącej Wiśni po

Ziemi Kieleckiej. Po gnuśnej zimie, majowe przebłyski słońca, zachęcały do wyprostowania kości i złapania świeżego powietrza. Wąska był zawsze inicjatorem skrzyknięcia paczki kolegów z Politechniki do uczestnictwa w Rajdzie. Miał też zawsze przygotowany plecak z niezbędnym ekwipunkiem na jedno lub kilkunastodniowy wypad. Ponieważ zajęć na uczelni było bardzo wiele, a także konieczność pisania sprawozdań z ćwiczeń, rysunków, projektów technicznych, tak zwanych przejściówek, wyrwanie się na jeden dzień, a maksymalnie na dwa dni nie było sprawą łatwą. Wąska, jednak wesoły i sprytny chłopak zawsze ugadał kolegów na sobotnio-niedzielnny wypad poza miasto. Rajd wiosenny szlakiem „Kwitnącej wiśni” wszedł na stałe do repertuaru i już dużo wcześniej, przed jego ogłoszeniem, czekaliśmy na hasło Wąski. Wąska, oczywiście tylko znanym sobie sposobem, nie tylko złapał języka o przygotowaniu dziewcząt z Wydziału Włókienniczego na wiosenny rajd, ale też umiejętnie je zachęcał do wyrwania się z dusznych laboratoriów. Wiadomym było, że na Wydziale Mechanicznym są sami chłopcy, no może poza kilkoma „rodzinkami” dziewcząt, a na Wydziale Włókienniczym i Chemicznym, przeważają ilościowo dziewczęta. Na ogólną ilość około 400 studentów wszystkich lat Wydziału Mechanicznego, studentek było może dziesięć. Tym niemniej, Ala Wiśniewska z tego wydziału, wodziła prym na rajdach studenckich.

Nadszedł wreszcie maj, piękny słoneczny poranek, gdy zwarta grupa chłopców spod akademika usytuowanego na Alei Politechniki w Łodzi, żwawo ruszyła na Dworzec Kaliski, aby dotrzeć do wyznaczonego miejsca spotkań pod Kielcami. Już na dworcu było słychać wesoły rejwach tak na peronach jak i w wagonach. Szybko minął czas dotarcia na miejsce zbiórki uczestników rajdu. Rozdano plakietki, mapki tras rajdowych, a było ich kilka. Podobnie jak inni, nasza grupa wyruszyła na wyznaczony szlak. Nie trzeba było daleko wędrować, aby zobaczyć piękno wiosny. Białe pęki kwiatów na przydrożnych drzewach i w chłopskich zagrodach wyglądały na najpiękniejsze bukiety w kryształowych wazonach. W znanym tylko Waśce sposobie, wkrótce przyłączyła się do nas grupa dziewcząt z „babskich” wydziałów Politechniki. Pierwsze spotkanie, pierwsze znajomości, pierwsze pogawędki, przerodziły się w wieloletnie przyjazne znajomości. Nikt wówczas nie przypuszczał, że te przyjaźnie zawarte tak przypadkowo, przetrwają nie tylko okres studiów, ale będą trwały przez wiele, wiele lat dłużej.

Z nieukrywaną skromnością należy stwierdzić, że my z Wydziału Mechanicznego, byliśmy faworyzowani przez dziewczyny, nie tylko dlatego, że ten wydział był prestiżowy na uczelni, ale i my wykazywaliśmy się wielokrotnie inicjatywą, pomyslowością i sprytem pokonywania przypadkowych trudności. Dziewczęta też miały swój sposób na nas. My do swoich plecaków zbieraliśmy jakiegokolwiek konserwy, chleb, no może jeszcze dżem i smalec w słoiku, no i oczywiście przyborek do jedzenia z łyżką, widelcem i nożem. Dziewczęta natomiast doskonale rozszy-

frowały nasze słabe strony i w niespodziewanej chwili wyciągały z plecaków pulchne wypieki. Smak tych wypieków na zielonej murawie, w cieniu ośniewającego słońca, były najwspanialszy na świecie. Już potem, tym samym dziewczynom, w małżeńskim stadle, nie udawały się tak wypieki, jak te przygotowane naprędce, w prowizorycznych warunkach, no może z małym wyjątkiem, o którym dowiemy się potem. Oczywiście, zarozumiali chłopcy, przy każdej okazji, naciągali dziewczyny na kuszące smakołyki.

Wróćmy jednak do naszego wiosennego rajdu. Pod wieczór spotkali się uczestnicy wszystkich tras na polanie przy wojskowej kuchni z cudownie pachnącą grochówką. Do zawierania znajomości nie trzeba było nikogo zachęcać, to się odbywało spontanicznie. Tuż obok była grupa przyszłych farmaceutek z Akademii Medycznej w Łodzi. Z boku prowokująco przygotowywała chłopcom wyczerpanym trudami dnia, Myna z Uniwersytetu. Prawdziwy „Babilon” zagościł na polanie powiewającej wieczornym chłodem.

W grupach przypadkowo zawartych znajomości towarzystwo podążało do najbliższej stacji kolejowej. Wesoły pociąg przed północą dotarł do Łodzi Kaliskiej.

Po kilku tygodniach odbył się Rajd po Ziemi Łódzkiej, nad Jezioro Okręt. Odstęp czasu między rajdami był znacząco długi i w tym czasie dochodziło do przypadkowych spotkań uczestników rajdu, na korytarzach uczelni, w akademiku, czy też na kawie u „Ekonomistów”. My nie mogliśmy dorównać operatywności studentów innych wydziałów, ze względu na dużą ilość zajęć uczelnianych. Na dodatek, każdej soboty o szóstej rano, przywdziewaliśmy mundury i pędziliśmy na Studium Wojskowe. Studentki, jak i chłopcy migacze, na których mówiliśmy fajtapy, mężczyźni drugiego gatunku, mieli czas wolny.

Tym już razem na „Rajdzie po ziemi łódzkiej” tworzyły się grupki osób przypadające sobie podobnym humorem, upodobaniami lub też zwykłymi sympatiami. Eloquentny Zbyszek z Bielska - Białej przymilał się do przystojnej Eli, ale ta nie była czuła na jego względy. Na skraju lasu skrzyżowały się trasy grupy „Wąski” z Politechniki Łódzkiej z grupą kolorowych spódniczek. Dziewczęta rozłożyły czystą serwetę, niby takie higienistki, a na niej „babkę” jakby wprost wyjętą z foremki, rogaliki, kremówki podobne do wypieków Gronowskiej, albo Grand Hotelu. Z pewnością były to ich własne wypieki. Nas zapraszać nie trzeba było, przecież mężczyźni słodczy nie lubią. Ale przecież dla towarzystwa kolegów poczęstować, to by wypadało – padła niby taka sobie dyskretna uwaga. – Jak jesteście tacy honorowi, to sobie siedźcie ze słomkową herbatą – odpowiedziały niby użalone farmaceutki. Ale niech będzie nasza strata, poznajcie serce Polaka. I tak się zaczęła znajomość na długie studenckie lata. Szybko padły imiona: Lilka, Halina, Urszula, Zośka, Hanka i kto je wszystkie spamięta. Może i mnie przyjmiecie do grona, choć jestem z Rzeszowa. Włączyła się do rozmowy Myna (Marysia), studentka z Uniwersytetu Łódzkiego. To

przecież wspaniała nowina! Oczywiście, będzie okazja zwiedzić Rzeszów i powędrować szlakiem turystycznym aż do Baligródu – padła zachęcająca odpowiedź. Zdzisiek, co ciekaw był dzięki przyrody, chętnie podchwycił myśl koleżanki z podbieszczadzkiej krainy. Tak długo zwiedzał te okolice, aż wpadł w sidła małżeńskie, ledwie poznanej na rajdzie dziewczyny. Ponieważ była to kumpelka z Wydziału Biologii, więc dogłębnie poznawali tajniki przyrody.

No to fajnie dziewczyny – odezwał się rezolutnie Zbyszek – przyjedźcie w przyszłą sobotę na fajf do akademika. Może będą zdjęcia, a może umówimy się na przyszły rajd do Białej, albo na dwudniowy do Sulejowa. Tenże Zbyszek na następnym rajdzie już adorował innej dziewczynę, Cichej nie tylko z uosobienia, ale także takiego nazwiska. Przetrawili w związku małżeńskim przez wiele lat, z dala od łódzkiego zgielku, w podbeskidzkim Bielsku.

Takich związków z rajdowych znajomości było wiele, choćby Zośki z Benedyktem w odległym Olsztynie. Lilka, która pół żartem, pół serio, traktowała nieśmiałego Czesia, znalazła innego przyjaciela życia w Łasku, z nakazem zatrudnienia w rękę. Zarówno Czesiu jak i Lilka z uśmiechem wspominają tamte lata, które były pełne młodzieńczej fantazji. Ela z Politechniki znalazła przyjaciela o innych zainteresowaniach niż ona, muzyka z podłódzkiego Zgierza. Ela, która była pełna werwy i zalotów, aż dziw bierze, upodobała sobie spokojnego przyjaciela z Akademii Muzycznej. Urszula, do dziś przyjaciółka Haliny, po trudnych życiowych doświadczeniach, od Pabianic przez Sędziejowice, ostatecznie zamieszkała w Łodzi. Choć życiem utrudzona, do dziś błyska humorem i wdziękiem, a u mężczyzny powodzeniem.

Ja nie miałem specjalnie wybranej sympatii, żartowałem z wszystkimi, to z dwiema Marzenami, jednej imię pisane przez samo „z”, a drugiej przez „er-ze”, to z Haliną, to z Lilką i wieloma innymi studentkami rajdowych wyskoków.

Wiele poznanych na rajdzie dziewcząt, przychodziło na fajfy do akademika, ale były to tylko koleżeńskie wizyty. Najdłuższe trwały znajomości z Lilką i Haliną. Jedną była parażanką Pabianic, a druga mieszkanką Konstancinowa. Wiele jeszcze lat po studiach minęło, nim Lilka osiadła na stałe w Łasku, a Jarek utkwiał w Konstancinowie Łódzkim w małżeńskim związku z Haliną.

Minęło pierwszych czterdzieści lat w naszym małżeńskim „stadle”, z różnymi perypetiami, jak to zazwyczaj bywa, prawie we wszystkich rodzinach. Według mnie mamy ustabilizowane życie, nie dorobiliśmy się majątku, ale też nie doznaliśmy biedy przez tych czterdzieści lat. Muszę obiektywnie stwierdzić, że sernik Halinka piecze najlepszy wśród znajomych i są to wypieki smaczniejsze niż te ze studenckich piecyków. Może jest to brak przedsiębiorczości, jak twierdzą smakosze serników, trzeba było otworzyć cukiernię w ogródku przy drodze na „Lublinek”.

Nie spełniło się najważniejsze życzenie Haliny – opuszczenie na stałe kraju Lachów. Muszę wyznać szczerze, ja też w tym związku nie byłam bez grzechu. Jak Bóg da, wytrwamy w „węźle

mażeńskim” następnych czterdzieści lat, przygarbieni losem czasu.

Całą miłość babcia Halinka przeniosła na jedyne wnuka, który jednak nie jest „milskim”, czekającym na czułe uściski. Taka jest proza życia i tak już pozostanie.

Z wiekiem wydaje się, że lata są coraz krótsze i biegną w pośpiechu, szkoda więc każdego promyka słońca i dnia bez uśmiechu.

JAROSŁAW STEJSKAŁ



Jesień – pora schyłku

Otworzyłem rano okno, a tu świat wma-
zany we mgłę. Jej lepkość przygniata złoto
liści topoli i kasztanów, ziębi gołębie i psy.
Gdzież ta pora urody, o której pisał Bruno
Schulz: „Z półmroku sieni wstępowało się
od razu w słoneczną kąpiel dnia. Przechod-
nie, brodząc w złocie, mieli oczy zmrużone
od żaru, jakby zalepione miodem, a podcią-
gnięta górna warga odsłaniała im dziąsła i
zęby. I wszyscy brodzący w tym dniu złoci-
stym mieli ów grymas skwaru, jak gdyby
słońce nałożyło swym wyznawcom jedną i tę
samą maskę – złotą maskę bractwa słonecz-
nego; i wszyscy, którzy szli dziś ulicami,
spotykali się, mijali, starcy i młodzi, dzieci i
kobiety, pozdrawiali się w przejściu tą ma-
ską, namalowaną grubą, złocistą farbą na
twarzy, szczyrzyli do siebie ten wyraz bak-
chiczny – barbarzyńską maskę kultu pogań-
skiego”. Zginęło to wszystko; i nawet ani ja,
ani nikt inny nie zdążył tego zauważyć w
codziennym zabieganiu. We mgłę kraczą
wrony i wchodzimy w listopad.

Jesień zawsze odbierałem zdecydowanie
źle. O tej porze roku najczęściej boli mnie
głowa. Zmienne temperatury, pozorna
gorąc słońca i zdradliwy chłód cienia –
łatwo powodują przeziębienie. Ta pora roku
odchyla się od normalności, która zdaje się
z niej parować, jak z grubej baby zmęczenie. I
ta mgła, wciskająca się w człowieka, rozply-
wająca się w nim bezradnością i jakby om-
dleniem, wyzwała apatię i pustkę.

Dlatego nie cierpię poetów jesieni. Są to
kłamcy głoszący, że młodość i wiosna to
choroba; lato i dojrzałość – stan przejścio-
wy; że prawdziwym stanem natury i czło-
wieka jest właśnie odchodzenie, schyłek,
zmiernic. Wtedy pono wszystko statecznie-
je, obnaża się z pozorów barw, wyzwała z
trzepotliwej migotliwości, pokazując w
przyrodzie to, co stałe i niezmiennie. Podej-
rzewam, że kiedy poeci opisują wielobarw-
ność pory jesiennej, to w skrytości ducha się
cieszą, że jest ona chwilowa. Chwaląc bo-

wiem ostatnie tchnienie – podlizują się
martwocie. Chcą przy okazji ukryć dręczącą
ich pustkę i zagadać apatię.

Nic dziwnego, że modernizm odkrył
swą prawdę i piękno w jesieni. Gdzież do-
skonałszy znalazłby symbole, jak w tej krzy-
czącej niesprawiedliwości przyrody, która
lekce sobie waży krótkość życia, co roku
daje świadectwo apologii przemijania. Cho-
robliva wrażliwość tylko może w tym gu-
stować. Zjawy, widy, przewidzenia. Znowu
więc: pustka. Szelest liści poruszanych przez
wiatr, ich intensywna woń, kojarząca się z
cmentarzami; deszcze jesienne; uporczywe i
jednostajne, blade słońce lub lepka mgła –
oto naturalne zapowiedzi nicości, powodu-
jące skurcz w gardle. Jak z tym można żyć?
Jak myśleć o urodzie i tworzyć piękno? –
Widać można, powiadali moderniści, pi-
sząc, malując, grając i komponując lub
chlejąc wódkę, by o tym wszystkim zapo-
mnąć.

Otworzyłem okno – a tu świat wma-
zany we mgłę. Nie słycać krzyków bawiących się
dzieci, radosnych nawoływań, nie widać
ścigających się na rowerach i biegnących po
cukierki czy lody. Kiedy się mocniej wyteży
wzrok – dojrzeć można niewyraźne sylwetki
pokulonych ludzi, którzy idą nie wiadomo
dokąd, jakby chcieli tym swym chodem
pokroić otulającą ich maź. Jest to wysiłek
bezsensowny, z góry skazany na niepowo-
dzenie. W tej sytuacji nie można już zrobić
nic, nawet bunt wydaje się śmieszny i nie-
rozsądny. Maź mgły wciska się we wszystkie
pory ciała, wokół szaro jak w mózgu, lecz
myślą tej szarości musi być bezwolna nija-
kość. Czasami wydaje się, że zginęła już
prawdziwa realność. I nawet gdyby się
uszczypanąć do bólu, na niewiele się to może
zdać.

Patrzę w tę realną nierealność. Biorę
papierosa, zapalam. Chodzę po pokoju.
Dotykam ręką ciepłych już o tej porze roku
kaloryferów. Podchodzę do okna. Patrzę.
Jakiś gołąb usiadł na balkonie i tłucze dziob-
kiem w pokrywającą go blachę. Poddaję się
omdlewającej aurze jesieni i przysięgam
sobie na przyszłość, że już nie będę zwracał
na nią uwagi.

Nic z tego. Nieraz już sobie obiecywa-
łem. A jednak co ranka dzieje się to samo.
Wychodzi ze mnie jakaś przebrzydła ule-
głość wobec tego stanu rzeczy i nic po
postanowieniach i obietnicach.

Tak oto ulegam czemuś potężniejszemu,
niż wytworzyć może moja jednostkowa
wola. Mogę temu przeciwstawić tylko swe
emocje, chęci i niechęci, okazać zniecierpli-
wienie lub obrzydzenie. I muszę czekać.
Czekać aż minie jesień i ta pora roku, której
nazwy nawet nie lubię. Czekać na świat, w
którym nie ma miejsca na maź mgły, kapry-
sy temperatur i choroby. Ale zawsze taki
świat przychodzi.

PROF. JAN KUROWICKI

Książka – drogowskaz

Lucjan Turowski należy do tego wąskiego
kręgu uczonych, którzy cenią w człowieku
przede wszystkim poziom rozwoju uczuć,
wrażliwość i wyobraźnię a nie tylko rozwój
intelektualny. Profesor ceni osiągnięcie praw-
dy dzięki wiedzy naukowej oraz literatury
pięknej i sztuki. Dał temu wyraz w wydanej,
w tych dniach, książce „Andragogika reedu-
kacji”. Jest to dzieło wyjątkowe, skierowane
do każdego, kto pragnie kształtować siebie.
Profesor Turowski kreśli model samowychowa-
nia, które powinno towarzyszyć nam przez
całe życie.

Człowiek zdrowy psychicznie, to rozwi-
jający się wewnątrz w sposób wolny od
mody i narzucanych wzorów przez społe-
czeństwo. Kształtując siebie mamy zarazem
tworzyć wspólnotę z innymi – zamiast
rywalizować, konkurować, czy wzbogacać
się kosztem innych.

Człowiekiem stajemy się przez całe ży-
cie. Istotne znaczenie mają autentyczne
przemiany. Autor ceni bezinteresowność,
lojalność, braterstwo oraz traktowanie
ideałów jako drogowskazów i zarazem celów
do spełnienia. Odwołuje się do przykładu
wybitnych twórców oraz do wybranych
bohaterów z zakresu literatury pięknej.

Optymizm Lucjana Turowskiego dochodzi do
głosu w przekonaniu, że można zbudować
świat na miarę ludzkich tęsknot. Zależy to
od procesów reedukacji podjętych przez
każdego. Wymaga to odporności, by nie
ulec propagowanemu pseudowartościom
oraz pogładowi głoszącemu śmierć ideałów.

Wykraczanie poza wąski egoizm ułatwia
odnalezienie sensu własnego życia. Wymaga
to wzniesienia się nad poziom materialno –
biologiczny.

Kształt świata w którym żyjemy, w tym
polityka i ekonomia, jest zależny od stanu
świadomości oraz charakterów jednostek.
Profesor nakłania, by budować świat na
miarę ludzkich tęsknot.

Na zakończenie warto podkreślić, że je-
den z rozdziałów jest poświęcony Uniwersy-
tetom Ludowym – ośrodkom myśli i prak-
tyki autoredukcyjnej. To cenne nawiąza-
nie do tradycji skłania do refleksji nad po-
trzebą rozwoju tej cennej instytucji Polski
międzywojennej, która w Danii jest nadal
kultywowana.

PROF. MARIA SZYSZKOWSKA



Zamyślenia

Pieśń
Naszyc Korzeni

Muzyka kluczem do ludzkich serc. To prawda, gdyby nie było muzyki, wszyscy byśmy byli... Tu miało paść słowo: zwierzętami. Nie! Żywiąc głęboki szacunek i miłość do zwierząt, nie użyję tego określenia...

KAZIMIERZ IVOSSE

Oto w moim rodzinnym mieście Jarosławiu przez cały tydzień od 19 sierpnia odbywał się, już jubileuszowy, festiwal Pieśń Naszych Korzeni. Muzyka jako taka jest dobrem dla wszystkich, nie tylko dla melomanów. Mimo coraz bardziej zaciskanego gorsetu finansowania kultury w Polsce, na peryferiach kraju, odbywają się tego rodzaju wielkie imprezy. To jeden z nielicznych w Europie tego rodzaju Festiwali, dodajmy Festiwal z klimatem i niepowtarzalną aurą. Muzyka dawna, „Pieśń Naszych Korzeni”, już sam tytuł przyciąga swoją magicznością. Muzyka ponadczasowa, a jednocześnie uniwersalna. Z niej jeszcze długo kompozytorzy czerpać będą inspiracje. Tego rodzaju muzyka jest muzyką wymagającą. Dla ukazania jej specyficznych walorów przyciąga ona tak wybitnych muzyków, specyficznych instrumentów, wiedzy o czasach dawnych, a także musi się ona mieścić w klimacie wyjątkowych miejsc. Tych ostatnich w starym grodzie nad Sanem nie brakuje.

Uczestniczą w Festiwalu artyści niemal z całego świata i nie dziwnym się, że pod tym względem na mapie kulturalnej Polski, Jarosław stał się od 20 lat perełką tej pięknej sztuki, jaką jest muzyka. Pierwsze, muzyczne spotkania odbywały się pod nazwą: Jarmark Muzyki Dawnej. To miasto wielkich ongiś jarmarków leżące na Szlaku Bursztynowym, prawem Kaduka stało się miejscem kulturalnego dziedzictwa. Zresztą Jarosław jest miastem kilku kultur. Stało się to za sprawą kupców z całego świata uczestniczących w największych w Europie jarmarkach. Warto przypomnieć, że początki tego Festiwalu związane były ze Starym Sącem. Jako pierwszy tego typu w Polsce

zajmującego się muzyką dawną, Stary Sącz był miejscem, gdzie w klasztorze Sióstr Klarysek został odnaleziony najstarszy na ziemiach polskich utwór wielogłosowego „Omnia Beneficia” – Konduktusu zdradzającego cechy szkoły Notre Dame. I to znalezisko zainspirowało muzykologów i muzyków do powstania imprezy poświęconej liturgii i muzyki liturgicznej. Ta cecha stanowi do dziś kanwę kolejnych imprez. Nazwa „Pieśń Naszych Korzeni” utrwalona została w roku 1992. Dziś jest to „szeroki wachlarz luster”, w których odbija się właśnie muzyka dawna, ale niezapomniana.



Rys. Kazimierz Ivosse

Każdego roku impreza muzyczna gromadzi w mieście rekordowe ilości publiczności, publiczności tak wspaniałej, jak wspaniała może być muzyka. Jeżeli muzyka pop ma swoich fanów, tak i koncerty muzyki dawnej gromadzą rzesze wielbicieli. Sale Opactwa, gdzie rezydują siostry Benedyktynki (już od 400 lat), barokowe wnętrza kościołów, cerkiew prawosławna, to miejsca wymarzone dla tego rodzaju koncertów, one przyciągają znakomite nazwiska wykonawców, jak choćby Jordi Savall wraz z synem, wirtuozi z Katalonii, angielski lutnista Chris Wilson, Amerykanin Tim Eriksen, to tylko kilka nazwisk, a przecież bywali i są przedstawiciele tak odległych kuli tur, jak muzycy z Maroka, Persji, z Grecji, Sardynii, Andaluzji, Hiszpanii, Niemiec, Francji czy Włoch.

Muzyka dawna... jest to odtworzenie danego dzieła przy użyciu oryginalnych instrumentów i technik historycznych. Marcin Bornus-Szczyński, jeden z głównych organizatorów powie: „Kwiat bez korzeni jakiś czas żyje. Niektóre kwiaty nawet długo. Potem usycha. Człowiek też nie od razu orientuje się, że stracił swoje korzenie. Nawet mu się przez jakiś czas to podoba. Jak kwiat – jest piękny i wolny. Potem bez świadomości, bez więzi, bez tożsamości, stopniowo traci siły. Siły duchowe nawet

wcześniej, niż fizyczne. A starość bez sił duchowych i rosnącej mądrości, jest trudna do zniesienia”. Nic dodać, nic ująć. Nie dziwnym się, że w tych trudnych czasach dla naszej świadomości historycznej oraz zaplanowanych działań, aby Polakom odebrać pamięć, słowa te nabierają szczególnego znaczenia. W poszukiwaniu, odkrywaniu i poznawaniu naszych korzeni służą od lat, prowadzone przy okazji Festiwalu debety nad tradycją.

W Jarosławiu działa od lat Stowarzyszenie Muzyka Dawna. Projekt: Warsztaty Tradycji służą m.in. tym celom badawczym, prowadzone są warsztaty śpiewacze, instrumentalne, taneczne. Akcja: metodologia badań w terenie zaowocowała rozbudową siatki kontaktów w środowisku artystów ludowych tych terenów. Cóż, jesteśmy tymi samymi ludźmi, jak sprzed wieków, powie Maciej Koziński, dyrektor artystyczny Festiwalu. „Dawność” nie pozostaje zatem pojęciem wyłącznie chronologicznym, reliktem muzealnym. To odkrywanie starego piękna na nowo, raz jeszcze i chwała za to artystom i organizatorom.



Zbigniew Gordziej

Bilans

Najpewniejszym porozumieniem jest milczenie człowieka kiedy przez zamknięte usta nie ma przecieku złej śliny nie syczy język nie charczy krtań Współczesny jazgot nie ma nic wspólnego z mądrością mowy Przekrzykiwanie jest formą eksploatacji zła Podpatruj zwierzęcy genotyp

Niewiadoma

Sosna pochyliła pień koroną otacza spadzisty dach jakby wdziała że pod nim samotny człowiek w otoczeniu doniczkowych kwiatów i żelatynowych tabletek Drzewo szyszkowymi paciorkami modli się o jutro Na dachu igliwie przykrywa poczerńiałe dachówki Przed wejściem żółte tulipany i inwalidzki wózek z kołami w których ubyło powietrza Chodnikiem skrada się czarny kot

BADŹ CO BADŹ



Diabla sprawa

Nie pamiętam już chwili, w której zacząłem myśleć. Kiedyś wierzyłem w to, że gdybym ją sobie przypomniał, proces mojego myślenia stałby się zrozumiały, bo posiadałbym wiedzę o tym, czym jest doskonała bezmyślność.

Z czasem straciłem tę wiarę. Wciąż myślę i nic nie rozumiem. Nie mam pojęcia dlaczego. W dzieciństwie nie wyróżniałem się niczym szczególnym. Podobnie jak inni mieszkańcy niezbyt dużego miasta Europy środkowo-wschodniej chodziłem do przedszkola i do szkoły, grałem w piłkę i zbierałem ołowianych żołnierzy, a na pytanie dorosłych: „Kim będziesz, kiedy dorosniesz?” Odpowiadałem: „Strazakiem!”.

IGOR WIECZOREK

Dopiero w trzeciej klasie szkoły średniej stało się oczywiste, że jestem młodym wariatem. Podczas gdy większość moich rówieśników dokonywała właśnie pierwszych życiowych wyborów, a ich nieukształtowane charaktery, zderzając się ze sobą, wpadały w tę siatkę pojęć, którą świat zowie wiedzą, ja spoczywałem w bezruchu. Całymi dniami myślałem, a w moim pociągłym obliczu kryło się coś diabelskiego. Było to tym okropniejsze, że nie wierzyłem w diabła.

Już wtedy wątpiłem we wszystko, nawet we własną niewiarę. Świat jawił mi się strumieniem niezrozumiałych zjawisk. Każde z nich, wzięte z osobna, miałyby jakiś sens, gdyby w tym samym czasie inne zjawiska zniknęły. Niestety, wszystkie zjawiska były ze sobą splecione z istic diabelską perfidią, bo każde było sensowne tylko w świetle innego,

przeciwstawnego zjawiska. Myślenie o owym świetle spędzało mi ciągle sen z powiek, a moje pociągłe oblicze czyniło nad wyraz diabelskim.

Zacząłem studiować dzieła fizyków i filozofów. Im bardziej się w nich zagłębiałem, tym częściej stawało się jasne, że umysł jest kliszą hiperfotograficzną. Fizycy i filozofowie posiadli szereg obrazów przedstawiających zarysy nieznannej istoty rzeczy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien szkopał. Otóż na wszystkich obrazach nadmiar spiętrzonych zarysów zasłaniał samą istotę, czy raczej – natura istoty sprowadzała się tylko do zarysów. A jednak w historii nauki nie było takiego badacza, który nie wierzyłby w światłość swojego wątego umysłu. Ta światłość nie była istotą, bo zawsze spowijał ją mrok, lecz mrok również nie był istotą, bo zawsze ujawniał się w świetle. Jedynie umysł badacza zawisał nad ową przepaścią i chociaż też nie był istotą, to jednak ona nim była. Tak oto doszedłem do wniosku, że umysł ludzki jest kliszą hiperfotograficzną – ujawnia bowiem z natury nieujawnioną istotę.

Pragnąłem podzielić się z ludźmi tym arcykierawym odkryciem, lecz oni nie chcieli mnie słuchać. Wszyscy byli zajęci prozaicznymi sprawami i kiedy im tłumaczyłem, że ich umysły to klisze hiperfotograficzne, czuli się obrażeni.



Kiedy zbliżałem się do nich, natychmiast się oddalali, a kiedy ich nie zauważałem, od razu dążyli do zwarcia. Wiele mówili o Bogu, materii, czy szczęściu nirwany, co wcale im nie przeszkadzało zajmować się sztuką oszustwa. W sztuce zręcznego oszustwa byli nieodścignieni. Walczyli ze sobą zawzięcie z jakąś niezłomną wiarą w nadrzędne znaczenie litości. Twierdzili, że są bardzo dobrzy i

aby to udowodnić pozabijali swych bogów. Jednego ukrzyżowali, a setki, tysiące innych zapchnęli w otchłań niebytu. Tacy byli, do diabła!

Nie chciałem być jednym z nich. Pragnąłem stać się malutki, leciutki i pusty w środku, a potem zespolić się z kliszą hiperfotograficzną i unieść się ponad to bagno, któremu na imię ludzkość. Istnieć, ale inaczej, w innej postaci i w miejscu, które nie miałyby granic, a jednak byłoby moje – oto do czego dążyłem. Rzecz jasna, owo dążenie było kolejnym nonsensem, tym bardziej, że w gruncie rzeczy nie mogłem go nijak zaniechać. Jak mógłbym zaniechać dążenia, którego ukrytą przyczyną był brak przeciwstawnych dążeń?

Być może, gdybym nie dążył, a tylko spoczywał w bezruchu, to niczym mnich tybetański osiągnąłbym wyzwolenie. Niestety, podjęcie decyzji o zaniechaniu dążenia byłoby jednym z przejawów tego samego dążenia. I właśnie z tego powodu nie czułem sympatii do mnichów. Sądziłem, że brak im odwagi, szczerości i inteligencji. Otwarcie dążyłem do zespolenia się z kliszą i tajemniczą istotą, która się w niej ukrywała. Szkoda, że nikt tego nie widział.

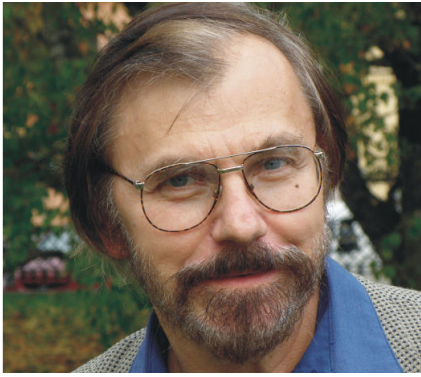
Ludzie, wśród których żyłem, patrzyli wciąż na obrazy i w taki czy inny sposób oceniali ich wartość. Ponieważ treścią obrazów były spiętrzone zarysy, ukrytej za nimi istoty nie można było ocenić. Lecz ludzie wpatrzeni w obrazy nie chcieli tego zrozumieć. Zdawało im się niezmiernie, że oceniając zarysy szacują wartość istoty, albo, że owa istota wyzuta jest z wszelkiej wartości. Strach, rozpacz, głupota i wiara były motorem ich działań.

Ze mną było inaczej. Wiedziałem, że samo patrzeć, podobnie jak każdy z obrazów, jest tylko manifestacją nieodgadnionej istoty, której nie można zobaczyć, dotknąć, ani powąchać. Dlatego nie rozpacziałem, niczego nie oceniałem, nie bałem się i w nic nie wierzyłem. Karmiłem się własną niewiarą, patrzyłem na to, że patrzę. Choć fakt, że zaczynam ślepnąć, bo w końcu zacząłem ślepnąć, uszedł mojej uwadze, to jego zawile następstwa dały mi się we znaki. Nie umiem ich nawet opisać – zanadto były zawile. Mogę jedynie powiedzieć, że pogrążanie się w mroku wszystko mi wyjaśniło.

Ja, ślepiec, zacząłem dostrzegać wszystko i nic jednocześnie. Z pola mojego widzenia zniknęły wszelkie szczegóły, a także większość obrazów. Patrzyłem z pustego miejsca, czy raczej, ściślej rzecz biorąc, przeze mnie patrzyła pustka.

Kiedy poczułem, że tęsknię za pospolitym spojrzeniem, którym ogarnia się całość i selekcjonuje szczegóły, było stanowczo za późno, gdyż nie dostrzegałem swych oczu. Widziałem jedynie posępną i diablo bladą twarz ślepca. To było moje oblicze. Wciąż myślę i nic nie rozumiem. Nie mam pojęcia dlaczego.

Listy do Pani A. (50)



Jubileusz, i co z tego?

Droga Pani!

To już pięćdziesiąty list, jaki do Pani piszę. Tak więc mamy swoisty jubileusz. Skoro „Gazeta Kulturalna” jest miesięcznikiem, to nawet ja ze swoim kalectwem matematycznym mogę obliczyć, że pierwszy list ukazał się w 2008 roku. Okoliczności towarzyszące początkom naszych listów były smutne. Na tej bowiem kolumnie ukazywały się niegdyś w odcinkach wspomnienia Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa „Świat jest... Cugowny”. Niestety, Tadeusz zmarł przedwcześnie. Po Jego śmierci Andrzej Dębkowski zaproponował mi to miejsce. Z początku nie wiedziałem, jaka formuła będzie najodpowiedniejsza. Ponieważ chciałem się z kimś dzielić swoimi spostrzeżeniami, rozterkami, smutkami i radościami, postanowiłem uczynić Panią adresatką tych listów. I tak się zaczęło. Nawet nie przypuszczałem, że dotrwał do pięćdziesiątego odcinka.

Rejestruję tutaj to, co dzieje się w naszej rzeczywistości, w życiu kulturalnym, literackim. A ostatnio dzieje się po prostu źle. Jeśli na takie szacowne instytucje jak Ossolineum nie ma pieniędzy, ale na tandetne stadioniki wydaje się miliardy, utrzymuje się różnych działaczy, przeważnie złodziei i łapówkarzy, oznacza to, że mamy skandaliczne rządy szkodników i sabotażystów. Wyraźnie można usłyszeć chichot historii, złośliwy rechot Hitlera. Nikt przecież nie zdołał zniszczyć, i to w tak stosunkowo krótkim czasie, polskiej kultury, jak sami „prawdziwi Polacy”. W końcu zostaniemy wśród ruin stadionów. A banda idiotów będzie się snuła z błędnym wzrokiem po supermarketach. Ach, te nazwy! Zauważyła Pani, że nie ma już sklepów, domów towarowych, delikatesów, kościołów – tylko markety, światy, centra, sanktuaria? I wkrótce napotkać będzie można nędzny kiosk z szyldem w rodzaju: „Centrum Gaci”, albo „Świat Gorzały”.

To samo z Warszawską Jesienią Poezji, zamordowaną przez władze Warszawy, Urząd Marszałkowski, i tzw. Ministerstwo

Kultury i Dziedzictwa Narodowego. (Kulturę można zniszczyć, a dziedzictwo rozkręcić, i w zasadzie temu to służy). Debilizm urzędasów, ich niekompetencja, nieuctwo, jest porażające! A namnożyło się tego jak insektów.

Zamiast jednak położyć temu wszystkiemu tamę, rozwinięte zasłużone instytucje i edukować społeczeństwo, to rzeczywiście lepiej wybudować stadion czy zaprosić piosenkarkę z bardzo dużym biustem. Wkrótce jednak to wszystko tragicznie się zemści.

Kultura wysoka może się rozwijać, jeśli trafi na światły mecenat. Nie jest towarem, który łatwo sprzedać. Ale bez tego „towaru” społeczeństwo przemieni się w stado bydła, co zresztą już możemy zauważyć w samych sferach rządzących... A nie ma nic gorszego, jak wzbogacone bydło trzymające władzę.

Ten rok, choć jeszcze się nie skończył, był tragiczny. Na początku roku zmarł nasz przyjaciel Krzysztof Gąsiorowski. Odeszła Wisława Szymborska, niektórym „politykom” myśląca się z Wisłocką, Andrzej Łapicki, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz...

To ostatnie odejście odczuliśmy szczególnie dotkliwie. Tyle lat towarzyszył pokoleniom literackim. Nikt tak jak on nie znał poetów i ich tomików. Był w tej mierze chodzącą encyklopedią, do czasu, kiedy to ruch wydawniczy wymknął się spod obserwacji, wskutek przerwania ciągłości pokoleniowej, zapaści prasy literackiej i rynku wydawniczego.

Andrzej przez długie lata przewodniczył Komisji Kwalifikacyjnej przy ZG ZLP. Przez dwie kadencje brałem udział w pracach Komisji pod jego kierownictwem, potem Andrzej Waśkiewicz został wiceprezesem ZG ZLP, a wtedy ja przejąłem kierownictwo Komisji.

Erudyta, kopalnia wiadomości i anegdot. Pamiętam, jak kiedyś w Oborach, podczas sympozjum polsko-rosyjskiego, siedzieliśmy w licznych towarzystwie długo w noc, popijając wódeczkę. Andrzej był jego duszą.

Narzekam na pauperyzację kultury, bo jest to fakt prawdziwy. I nie zmienia tego wysiłek ludzi kultury, którzy wbrew wszystkiemu pragną coś ocalić. Miałem promocję swojego dwujęzycznego wyboru wierszy wydanego w Bułgarii. Zorganizował ją Bułgarski Instytut Kultury z inicjatywy jego dyrektorki, Michaeli Todorovej, uroczej i życzliwej pani. Z Bułgarii przyjechał tłumacz i poeta, mój przyjaciel, Łyczezar Seliaszki. Opowiadałem o książce, Łyczezar o swojej pracy translatorskiej, ja czytałem wiersze po polsku, a on te same po bułgarsku. Było bardzo dużo ludzi, jak na takie poetyckie spotkanie, bo ponad trzydzieści osób. A wśród nich Pani. Czulem to, a chwilami wydawało mi się, że Panią widzę. Wtedy czytałem te wiersze, które powstały dzięki Pani. Zresztą wszystkie one pochodzą z tej inspiracji, niezależnie od czasu, kiedy były pisane. Po prostu pomiędzy nami nie ma czasu, nie ma odległości. Byliśmy i jesteśmy –

zawsze.

Spotkanie się wszystkim bardzo podobało, było wiele pytań do Łyczezara i do mnie. A potem lampka wina i dalsze rozmowy. Bardzo lubię takie wieczory autorskie. Są krzepiące, dają poczucie, że nie pisze się w kompletnej próżni. To spotkanie zorganizowali Bułgarzy. A Polacy? Poza świetnymi, niezapomnianymi spotkaniami w Poznaniu moje „Studnie Andersena” wpadły w studnię – i cisza. Nie licząc świetnych recenzji na portalu www.pisarze.pl pióra Anny Marii Musz i Andrzeja Waltera, a także Leszka Żulińskiego w mojej macierzystej „Gazecie Kulturalnej”. Spotkań z czytelnikami dotąd nie ma.

Tymczasem Leszek Żuliński zaproponował mi udział w jury konkursu im. Wacława Olszewskiego w Bełchatowie. Prosił, bym ze swojej strony dobrał jeszcze jednego jurora. Zaprosiłem więc Aldonę Borowicz. Ma ona dużą orientację w tym, co piszą najmłodszy, jest zarazem surowa, doskonale się zna na poezji, sama jest wybitną poetką. Przeczytaliśmy ponad sto siedemdziesiąt zestawów wierszy.

A potem posiedzenie jury. Rozrzut naszych typów był duży, ale nie aż tak, by nie można było wypracować sprawiedliwych kompromisów. Dyskutowaliśmy i spirali się zawzięcie. Oczywiście, na tyle zestawów było dużo grafomańskich, ale i takie, które zwróciły naszą uwagę. Niestety nie wszystkich można nagrodzić, więc wytypowaliśmy te zestawy, które uważaliśmy za najlepsze. Są w tym nasze subiektywne oceny i gusta, ale staraliśmy się zważać na autentyczne, obiektywne wartości tekstów.

Po takich lekturach jurorskich, pomimo wydania swoich szesnastu książek, zaczynam patrzeć na siebie coraz bardziej krytycznie. Może mogłem lepiej pisać; może nie wypowiedziałem wszystkiego, a tu mój czas ludzki się kurczy... Z drugiej strony zastanawiam się, czy pracoholizm i perfekcjonizm nie byłyby jakąś przeszkodą w pracy twórczej. Pisać za dużo nie można, bo zależy to od siły inspiracji. A nadmierny perfekcjonizm może doprowadzić do wiecznego czelowania, a zatem przerysowania i przedobrzenia dzieła, czy to wiersza, obrazu bądź utworu muzycznego. A przecież każde dzieło ma jakiś margines błędu, które go czyni żywym, spontanicznym. A więc nie będę się zadreślał i mówił o kurczącym się czasie.

Kiedyś, będąc akurat w sklepie, stanąłem sobie przy pustej kasie. Nagle jakaś klientka odkrywczo mnie poinformowała: „proszę pana tu nie ma kasjerki”. – Jak to nie ma? – odpaliłem. – Jest, tylko rozebrała się do naga i jej nie widać! Czy nie jest to przyczynek do naszej całej rzeczywistości?

Ale cóż, musimy jakoś żyć! I z tym optymistycznym okrzykiem pozdrawiam Panią serdecznie –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania



Ech, historia...

Amerykane ujawnili materiały dotyczące zbrodni katyńskiej. Do internetu trafiły dokumenty amerykańskiej administracji dotyczące tego mordu. Odtajnione archiwalia w dużej części nie były dotąd dostępne, zarówno dla szerszej opinii publicznej jak i historyków. Niemal w tym samym czasie, nad Wisłą, niektóre grupy polityczne polskiego parlamentu domagają się likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej. Cóż za zrządzenie losu...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Wśród odtajnionych dokumentów znalazło się wiele fotografii, raportów, listów, a nawet wycinków z gazet. Nie wszystkie dokumenty pochodzą z okresu II wojny światowej. Niektóre datowane są nawet na lata 80. ubiegłego stulecia, co wskazywać może na fakt, że sprawą zbrodni katyńskiej amerykańska administracja interesowała się przez wiele lat.



Ujawnione dokumenty pochodzą m.in. z zasobów Departamentu Stanu, Pentagonu, amerykańskiej armii oraz archiwów trzech kolejnych amerykańskich prezydentów – Roosevelta, Trumana i Eisenhowera.

Z dokumentów wynika m.in., iż dwaj amerykańscy jeńcy wojenni potajemnie informowali Waszyngton o zbrodni w Katyniu. W 1943 roku widzieli w lesie katyńskim zwłoki polskich oficerów – pisze agencja Associated Press, relacjonując ujawnione dokumenty z archiwów USA.

Opublikowane dokumenty przemawiają na rzecz poglądu, że wyciszenie sprawy na najwyższych szczeblach rządu USA pomogło ukryć odpowiedzialność Sowieców za zamordowanie w 1940 roku 22 tysięcy polskich oficerów i innych więźniów w lesie katyńskim i w innych miejscach.



O udostępnienie wszystkich materiałów dotyczących Katynia zabiegali amerykańscy senatorowie polskiego pochodzenia, którzy zwrócili się w tej sprawie do prezydenta Baracka Obamy.

Nie wiem, na ile była to dobra wola administracji USA, a ile to tylko przedwyborcze głaskanie Polaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Jedno jest pewne: bez względu na to czym się kierowano, sprawa Katynia nabrała zupełnie innego wymiaru – o wiele więcej materiałów ujrzało wreszcie światło dzienne. Zapewne pojawią się liczne głosy, że oto teraz Stany Zjednoczone, to nasz wielki przyjaciel, a przez te wszystkie lata do 1989 roku były naszym wrogiem, który na Polskę nałożył embargo oraz nakierował swoje rakiety balistyczne. Embargo, które uderzyło przede wszystkim w zwykłych Polaków i w naszą gospodarkę, a nie w polskich komunistów. To właśnie to embargo zniszczyło polski przemysł, a nie ZSRR.

Jedno jest pewne, że po 1940 roku, Stany Zjednoczone nie miały żadnego zamiaru robić cokolwiek w sprawie Polski. Ważniejszy był układ ze Stalinem, bo trudno było walczyć samemu na tak wielkich frontach, jakimi był Pacyfik, a później Europa Zachodnia. Amerykanie potrzebowali silnego sojusznika w walce z Hitlerem, a po zajęciu znacznego terytorium ZSRR przez wojska hitlerowskie, taki sojusz stał się naturalnym rozwiązaniem.

Osobiście nie sądzę, by te ujawnione dokumenty specjalnie zmieniły nasze ogólne rozumienie polityki amerykańskiej w spra-

wie Katynia. Ukazują one tak naprawdę wewnętrzne dyskusje i spory w rządzie amerykańskim czy powinno się ujawnić prawdę w czasie wojny. Potwierdziły jednak to, że nasza sytuacja geopolityczna nie zmienia się od wieków.



Churchill, Roosevelt i Stalin podczas konferencji jałtańskiej

Jednak paradoksem całej tej sytuacji stało się to, że niemal w tym samym czasie, co ukazały się materiały katyńskie, niektórzy polscy politycy, bardzo mocno związani z minionym ustrojem, chcą likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej.

W Sejmie odbyło się nawet pierwsze czytanie projektu ustawy przewidującej od 1 stycznia 2013 roku likwidację IPN oraz zaprzestanie lustracji, prowadzonej przez Instytut. W myśl propozycji inne zadania IPN miałyby przejąć: Archiwa Państwowe (przechowywanie i udostępnianie archiwów PRL), prokuratura (ściganie zbrodni komunistycznych i nazistowskich) oraz minister kultury (działalność edukacyjna).

Jeden z posłów użył takich argumentów, że „najwyższy czas na koniec rozliczeń z PRL. Od ścigania przestępstw jest prokuratura; od wyroków – sąd, reszta powinna być pozostawiona historykom. (...) IPN łączy funkcje badawcze z prokuratorskimi, co prowadzi do tego, że ta sama osoba może nie być agentem SB dla sądu, a być nim dla historyków IPN”.

Oczywiście to czysty przypadek, że obie sprawy zbiegły się w czasie. Niemniej jednak wytworzyło się przekonanie, że to znowu jakiś spisek. Prawda jest jednak taka, że sprawy niezłatwione do końca muszą kiedyś okazać swoje prawdziwe oblicze. Pewną trwogę budzi fakt, że chociaż udaje się po latach (lepiej późno niż wcale) doprowadzić do ujawnienia faktów jednych z najdramatyczniejszych momentów naszej, narodowej historii, inne próbuje się zatuzszować, odprawić do lamusa. Pewnie, że obie sprawy budzą wiele kontrowersji, ale przecież nie zawsze ma się od razu to, co chciałby się mieć. Należy mieć tylko nadzieję, że może kiedyś nadejdą takie czasy, kiedy wszystko będzie tylko białe, albo tylko czarne. Będzie jednak o to – niestety – niezwykle trudno, bo jak wiemy życie to najczęściej różne odcienie szarości...

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (24)

(FRAGMENTY)



Ani Janko, z którą literacki los złączył mnie przed wielu laty, gdy stwarzał nas jako „poetów publicznych” prawie z jednego żebra ówczesny bóg krytyki Artur Sandauer, śmiałości przy pisaniu powieści autobiograficznej *Dziewczyna z zapalkami* – nie za brakło. Ba, można rzec, że owa śmiałość w przekraczaniu granic staje się wyróżnikiem jej poetyckiej prozy. Zresztą autorka zdaje sobie z tego sprawę, skoro mottem książki czyni zdanie Ciorana: „Wtedy dopiero warto brać się za pisanie, jeśli mamy odwagę pisać to, czego nie mielibyśmy odwagi powiedzieć w oczy”.

Oczywiście pozostaje zawsze pytanie o najbliższych, którzy znaleźli się w polu zwierzeniowego rażenia. Czy życzą sobie, żeby ich wystawiano na widok publiczny? A jeśli sobie życzą, to czy właśnie w ten, a nie inny sposób?

No i jak pisać o sobie, żeby nie popaść w żenujący ekshibicjonizm i w narcystyczne samouwielbienie?

* * *

Ciągle zastanawiam się, czy Stwórca nie jest sadystą, który wpięrow nakręca nas jak zabawki do życia, daje wielkie i wszelkie możliwości fizyczne i intelektualne, pozwala się rozbuchać w sile i pewności siebie, by następnie odebrać to wszystko włos po włosie, nadzieja po nadziei; igra sobie jak kot z myszką z nami schorzałymi, zwijającymi się, kurczącymi na starość. Widzę nawet w wyobraźni Jego ironiczny uśmiech: „No proszę, wydawało ci się, że jesteś mocarzem, gigantem, geniuszem, że nikt ci nie poradzi, a zobacz, kim jesteś: pokurczem, robakiem, prochem, kłębkami narzekającejgo ciała”...

Jakby mu to udowadnianie Bożej Mocy na tle ludzkiej niemocy sprawiało satysfakcję?

Bóg – mściwy bożek?

Do refleksji natchnął mnie widok dawnych gierojów, chojraków, kozaków, którzy zebrzą na krakowskich plantach, są cieniami siebie-dawnych. Kiedyś rozgryzali kufle, byli postrachem okolicy, prawie siłowali się z Bogiem na rękę...

Nieograniczenie wolni, silni, nic sobie nie robili: z dekalogu, z zakazów, norm.

Ale ta wolność obróciła się z latami przeciw nim.

Zwyciężyła ich, pokaleczyła, okulała. Skaczą po plantach na protezach, straszą dziadowskim wyglądem, nikt się już nie boi. Nawet sprężynki-wróble, które też skaczą wokół kałuż na plantach.

Rozmowa dwu meneli

- Co robisz?
- Czekam...
- Na co czekasz?
- Może co spadnie z nieba...
- Manna?
- No...

Chwilowe nieporozumienie

Ona
Cała oddać mu się chciała
On pragnął tylko
Kawałek ciała

Świt w Borzęcinie – na pięć minut przed koncertem

Człowiek stworzony na nowo z gliny snu, otwiera zlepięte oczy, uszy, widzi, że dookoła świta.

Słyszy za otwartym oknem trzepotliwy gwar rozświetlających się brzaskiem gałęzi jabłoni, wiśni, jaśminów, czarnego bzu.

Prawie każda roi się od wizgów, gwizdów, kłaskań, ćwierkań.

Jakby cały ten ogród był orkiestrą symfoniczną, która na 5 minut przed koncertem stroi instrumenty, wypróbowała muzyczne frazy, tony, brzmienia, przygotowuje się do występu.

Stoneczny dyrygent bawi się jeszcze od niechcenia za horyzontem batutą i zwleka z właściwym wejściem na scenę Nieba.

Elegia o stodole

Wielka stara rozpadająca się stodoła rozkrzekotana jak kwoka w szczerym polu na równinie borzęckiej, należąca do innego czasu niż domy-wille; resztki zburzonej chałupy pod strzechą; studnia z żurawiem; zarastający chaszczami i chwastami na wpół dziki ogród. Miejsce opuszczone, gdzie kiedyś mieszkali ludzie ze swymi przyja-

ciółmi: kotami, psami, zanim nie wynieśli się w zaświaty, a może do miasta.

Ten widok kojarzy mi się z bramą cmentarną na równinie borzęckiej, której wizytówką jest trupia czaszka i napis „Memento Mori!”. I kojarzy mi się również ta stodoła z ruinami Koloseum w Rzymie czy z pozostałościami po twierdzy w Chocimiu, gdzie toczyły się bitwy polsko-tatarskie i panowała Rzeczypospolita szlachecka, a dziś „boże drzewko” przerasta stare, niszczące mury i kozy pasą się w ich wnętrzu, wśród panoszących się żywiołowo chwastów...

Przez dziurę po wrótniach stodoły jak przez Łuk Triumfalny widać na przestrzał las i pola, i łąki, i przelatujące przez nią trzepoczące w słońcu motyle.

I ścieżkę prowadzącą do drogi, którą kiedyś wyjechałem w świat.

I jest to widok jak z obrazu, którego autorem mógłby być Salvador Dali lub inny surrealistyczny artysta, ot choćby polski malarz przestrzeni Henryk Waniek.

Ostatnio podobna nostalgia, podobny żal, podobne uczucie opuszczenia, pustki, bezradności ogarnęło mnie, gdy zwiedzałem osadę rzymską w Volubilis w Maroku.

Stodoła jest o wiele młodsza, a jednak też stara i może nawet bardziej opuszczona od tamtej osady odwiedzanej gremialnie przez turystów.

Rozpadająca się bezpowrotnie, bezradna w swoim opuszczeniu przywołuje mi z przeszłości konia i wóz wyładowany snopkami, który wjeżdżał w nią kiedyś z hurgotem.

– Hetta! Wicho! – wołał wniebogłosey ojciec, podtrzymując widłami snopki i biegnąc za wozem, bo obawiał się, że fura zawadzi snopkami o ociosy stodołne. Ale po wozie i koniu, i gospodarzu też nie ma śladu, bo wszyscy obrócili się w proch i w nicłość, podobnie jak w perzynę obrócił się cały świat kultury chłopskiej i chłopski etos pracy.

Na moich oczach odjechał w niebyt gospodarz i jego koń i wóz, i nie pasą się na pobliskich łąkach krasule i ryczule, a skrzydła dachu stodoły pochylone ku ziemi przypominają stary aeroplan, który wzniósł się na chwilę w powietrze, a potem runął i zarył w ziemię.

Nad stodołą płyną białe obłoki, nieczule na jej powolną agonię, na jej zbyteczność i niepotrzebność w tej wsi, która w przeciągu mojego życia przeskoczyła z epoki feudalnej w epokę elektroniczną. A jeszcze dwadzieścia lat temu napisałem o podobnej stodole wiersz, w którym przyrównałem ją do chłopskiego Wawelu...

cdn.



Dialog z milczeniem

1.

O trzech poprzednich książkach poetyckich **Marty Pawlickiej-Włóki** („Szept sumienia” – 2002, „Ziemia mojej żrenicy” – 2007, „Scenki, nutki i wierszyki” – 2010) i zbioru opowiadań („Kolce mimozoy” – 2009) pisali na różnych łamach prasy krajowej, także w „Gazecie Kulturalnej”: Krystian Dzieciatkowski, Kazimierz Świągocki, ks. Wacław Buryła, Teresa Januchta, Eugeniusz Szulborski, Grażyna Orlewska oraz niżej podpisany. Nad piątą, czyli tomem wierszy „Dialog milczenia” wydanym w 10 lat po ww. debiucie książkowym, warto się pochylić i wyczytać przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy, by prześledzić to poetyckie 10-lecie ujawnione późnym debiutem prasowym, a potem książkowym. Drugi, aby skonfrontować swoje odczucia z niektórymi ocenami znawców o poprzednich zbiorach.

Nie chodzi tu o jakieś spory, choć akcenty polemiczne mogą się zdarzyć. Chodzi raczej o zachęcenie czytelnika do interpretacji tych wierszy, a przez nią – w ogóle do uważniejszego wczytywania się w tomiki poetyckie. Wydaje się bowiem, że dzisiejsza ucieszka do czytania literatury wysokiej nie jest spowodowana li tylko zafascynowaniem nośnikami elektronicznymi, lecz może bardziej rezygnacją recenzentów i krytyków literackich z publikowania takich analiz poezji, które by skłaniały do własnych interpretacji treści lirycznej. Tego zaś można się nauczyć właśnie z mądrych, niezawistnych, rzeczowych recenzji i esejów krytycznoliterackich. Mówiąc najprościej, nauczyć – to znaczy zobaczyć, jak to wykłada koneser poezji i zderzyć jego lekturowy odbiór z własnym.

Najpierw słowo o zawartości najnowszej książki Marty. Jej tytuł jest jednocześnie tytułem nowego tomiku otwierającego książkę. Po nim znajdują się wiersze wybrane z trzech wcześniejszych (do wyboru nie włączono niczego ze zbioru prozy). Trzy zestawy dotyczą wierszy dla dorosłych, czwarty to wybór tekstów głównie dla dzieci przedszkolnych, ale tutaj bez zapisu nutowego, wraz z tekstami autorki do muzyki własnej i innych. Książkę zamykają fragmenty recenzji poprzednich zbiorów.

2.

Przywołajmy zatem niektóre zdania innych o tym wierszowaniu i odnieśmy się do nich. Wybitny poeta metafizyczny i naukowiec, prof. K. Świągocki powiada, że pierwszy tomik ma poetykę i stylistykę XIX-wieczną i „gdyby tomik wyszedł w tamtym czasie, byłby wydarzeniem w gubernialnym grodzie” (w Piotrkowie). Jest w tym i pochwała, i zarazem coś nostalgicznego – nie za czasami gubernialnymi, lecz za tym, iż „ginie pewna cywilizacja”, a taka

„poezja jest jej ląbedzim śpiewem”. Wypada się zgodzić z tym i dodać, że „Szept sumienia” wydarzeniem nie był, ale ukazał nową autorkę z zadatkami na ciekawe wiersze. Zresztą, K. Świągocki – pisząc o następnym zbiorze potwierdza, że ten tomik „robi wrażenie poezji mądrej i dojrzałej formalnie”.

K. Dzieciatkowski, również o pierwszym tomiku pisze słusznie, że poetka „rozbudza ignorowane bądź tłamszone sumienie, ale mówi o tym szeptem, jakby w podświadomej obawie przed wolnością wykorzystywaną bardziej do anarchizacji niż do ich intelektualnego uszlachetniania”. Natomiast ks. W. Buryła słyszy w tym tomiku ludzkie serce – bijące, współczujące, a te wiersze „są potwierdzeniem ogromnej wrażliwości na piękno świata i człowieka”. Zaś niżej podpisany, podkreślając podobne walory znamionujące takie postawy, dziś ciągle lekceważone, kwituje swój wywód krótko: „Miłośnikom poezji przybyła poetka i jej podarunek – subtelne wiersze”.

Ważne wyżej pod względem wartości artystycznych krytycy stawiają drugi tomik wierszy Marty. Znakomita poetka z Poznania, Teresa Januchta podkreśla, iż „podmiot liryczny ujawnia swoje artystyczne pasje: muzyczne, plastyczne, literackie” oraz to, że autorka pochyliła się „nad dzieckiem w sierocińcu, starcem w przytulku, narkomanem a nawet porzucenym psem – odsłaniając ogromną wrażliwość na wszelką krzywdę. Nie można się śmiać – konkluduje – gdy „naręcze marzeń oplatają kolce”.

Mocnym akcentem kończy swą recenzję, ale o zbiorze opowiadań Marty, pisząc to w 2009 roku, znany białostocki poeta, zmarły niedawno Eugeniusz Szulborski: „...wszystkie pytania, jakie się nasuwają przy czytaniu tych opowiadań, są kolcami. Nie jest ważne czy to są kolce mimozoy, czy róży”. Ale o wcześniejszej „Ziemii mojej żrenicy” inny poeta, zduńskowolanin Tadeusz Zawadowski także podkreśla patriotyczną wymowę tych wierszy: „Wszystkie one prowadzą do zbudowania takiej pamięci, w której można usłyszeć kamienie mówiące po polsku, szelest liści koło kapliczek przydrożnych (...). W żrenicy Marty tkwi ziemia ojczy-sta”.

Prof. Świągocki stwierdza, że autorka zasługuje na uznanie, zwłaszcza za „muzykologiczną prozę poetycką”, a jego uwagę szczególnie zwróciło aż 17 wierszy, z których już „Przedtakt” pokazuje poezję mądrą i dojrzałą formalnie. Zaś Grażyna Orlewska charakteryzuje zbiorek utworów dla dzieci „Scenki, nutki i wierszyki” jako przyzwoicie wydany, mający dwa podstawowe walory: zgrabnie ujętą poezję dla najmłodszych oraz zwarta propozycję repertuarową dla osób, które „chcą wychować dzieci przy pomocy przedsięwzięć artystycznych”, zatem „dla jednych i drugich jest to cenna pozycja wydawnicza”.

Te wyimki z różnych źródeł i różnych autorów wskazują, że choć późno, to warto było zainspirować poetkę i nauczycielkę wychowania muzycznego do ujawnienia jej poetyckich

predyspozycji. Dowodzi tego rozwój jej liryki – od zapowiedzi w debiutanckim tomiku, przez udany poetycko drugi tomik, potem dość nostalgiczne opowiadania i wykorzystanie swych nauczycielskich doświadczeń w pracy z uczniami i przedszkolakami, aż po najnowszy zbiorek.

3.

Rozwój ten – ku kunsztownej sztuce wierszowania – widać już w oksymoronicznym tytule nowego tomiku, wziętym zresztą z wiersza „Nawiedziny” poświęconego „Pamięci mojego Męża”, Mariana Włóki (1934-2010):

*...i nasz dialog milczenia
aż po chłód wieczoru*

Utrata najbliższej osoby mogłaby tłumaczyć to, że treść liryczna tego zbioru jest w swej wymowie poważna, nostalgiczna, skłaniająca do zadumy nad życiem i jego meandrami, często smutna, ale poruszająca najczulsze strony duszy. Lecz 30 utworów, jakie złożyły się na tomik jest w gruncie rzeczy czymś, co można by nazwać różnobarwnym dramatem egzystencjalnym. Nie wszystko tutaj jest bowiem smutne czy tym bardziej żalobne. I jest to poezja o której trafnie powiada inny poeta Jerzy W. Misztela „W poezji to jest piękne, że można ją różnie odczytywać i interpretować”. Taki też jest nowy tomik piotrkowskiej poetki.

Przede wszystkim są to wiersze iskrzące uczuciem głębokiej miłości. Nieprzypadkowe jest motto tomiku zaczerpnięte z austriackiej pisarki, Gertrudy von Fort (1876-1971): „Uprawianie sztuki poezji jest formą miłości”. Lecz myliłby się ten, kto szukałby tu lansowanego współcześnie seksizmu. Tu mamy do czynienia z uczuciem – nie tylko w relacji ona – on, lecz miłości do świata i jego złożoności, do życia, mamy też odwołania do sfer metafizycznych, nie tylko w rozumieniu religijnym, ale i do Boga czy niebios jako do Absolutu wszechmocy pozanaturalnej.

Dostrzegamy więc mieszanię znanych człowiekowi zjawisk i pojęć, jak myśl i słowo „najbliższe duszy / w rozmowie z milczącym czasem”, jak światło, które wraz ze słowem „zdmuchnęły popiół / z kręgu cienia / milczącej strunie” i które „wskrzесиły życie jak ślad istnienia / w locie wiersza”. Nic jednakże nie jest jednakże. Np. słowo potrafi być „ostre jak świst bata”, gasi nadzieję, czy rani zbląkanę serca. Ale – pointuje poetka – „to nie słowo – / to człowiek syczy”. Syczenia słowami mamy co dzień aż nadto, czego główną przyczyną sięjącą tę przywarę jest przede wszystkim zawiść. Ma ona szczególne pole do popisu zwłaszcza wtedy, gdy w społeczeństwie panuje kult pieniądza, zaś wartości moralne i patriotyczne popadają w niełaszkę:

*Jeśli kryształ żrenic – jadem
i spopieliał ducha diament,
słychać ponad całym światem
dzwon na trwogę...*

(Dokończenie na stronie 18)

Dialog z milczeniem

(Dokończenie ze strony 17)

W takim klimacie rodzi się zwątpienie, również twórcze, które „Czai się / na zakrętach słowa / by skoczyć do gardła / wątlej strofie”, a „wiersz tęskni / za cieniem pióra” („Zwątpienie”). Jednak mimo wątpliwości autorka z uporem kreuje treść liryczną na temat walorów przyrody i sztuki twórczej. W urzekającej „Modlitwie brzozy” wyraża nadzieję, iż w pustej dziś dłoni, czyli w poczuciu pesymizmu „zakwitnie z powrotem / czas dziecięcych, krystalicznych marzeń”, a stanie się tak kiedy „brzoza zieloną modlitwą / w skrzydłach ważki poniesie do raję”.

Podobnie widzi nadzieję w wierszu zainspirowanym rzeźbą Stanisława Milewskiego (piotrkowski artysta rzeźbiący w drewnie). Ten wiersz – jak i sama rzeźba – ma tytuł „Dziewczyna z gołębiami”. Ona jest, co prawda, „Uwięziona w drewnie”, ale ma uniesione ręce, a w dłoniach jest gniazdo – symbol nowego życia. Być może, ono z tego gniazda wyfrunie i przyniesie „dygoczącemu światu / dzień”. W innej rzeźbie poetka widzi rumaka, który niejako broni się „przed ujarzmieniem w drewnie”, albowiem tętni w nim życie, gra krew, „rżeniem budzi / żrenice gwiazd / galopuje ku stepom”.

Wszędzie skrzy się życie, jeżeli człowiek – choćby w wyobraźni i z nadzieją – chce je dostrzec. A motyw nadziei pointuje autorka w przekornym wierszu, gdzie nadzieja wprawdzie „rozsypane się w palcach”, potyka o ludzką nieufność, kieruje człowieka „w świat rzeczy / liczb / horoskopów”, ale i tak wraca do niego, wręcz go nęka, aby szukał w sobie klucza „do zawierzenia życiu / ludziom i miłości”. Człowiek, goniący za współczesnym blichtrzem i zadufany w swoją niemalże wszechmoc, opętda się od nadziei, bo wierzy nie w nią, lecz w się i w dobre materialnych. Ona jednak jest uparta i „jak matka głupich / wciąż idzie za tobą” („Nadzieja”).

Jak wiadomo, poetka wywodzi się spod Lwowa, co znalazło odbicie w jej poprzednim zbiorze wierszy oraz w prozie, a na co zwrócił uwagę w swej recenzji Tadeusz Zawadowski. Ale choć autorka przywołuje rodzinne pejzaże z dzieciństwa, to – jak napisał Eugeniusz Szulborski – była stamtąd wypędzona „do nowej ziemi nad Strawą”. I to nowe dla swego życia miejsce na ziemi polskiej, a także jego najbliższe okolice obdarza czułością swej liryki. Oprócz Piotrkowa, o czym niżej, poświęca trzy wiersze miasteczku Żelów – zainspirowana 50-leciem nadania temu siedlisku praw miejskich w roku 1957. Prezentuje przede wszystkim żelowskie dzwonki, na których wspaniale gra zespół młodziutkich wykonawców. Jak się przekłada taką muzykę na poezję? Np. taką strofą:

*Kaskada dźwięków
przebudzenie świtu*

*tańczące echo na skrzydłach
aniola
i czułość dłoni unoszącej dzwonki
grazioso czystych strun ducha
dotyka*

(„Grają żelowskie dzwonki”)

Zaś w „Herbie Zelowa” poetka daje kwintesencję dziejów miasteczka:

*Małe miasteczko – wyjątkowe dzieje
w herbie odbite dziedzictwo historii
orzeł z koroną prawym skrzydłem wita
z Czech osadników – mistrzów rękodziela
A lewe skrzydło schował za mur z cegły
z pieśnią członka tkackiego warsztatu
po wiekach z dumą przywołując korzenie
potomkom Czechów – dzisiaj żelowianom*

Autorka zagląda też do żelowskiej biblioteki, gdzie słyszy „ekumeniczne echo / rozmoldzonych po swojemu / osadników”. Skąd u niej taka znajomość realiów i sentyment do Zelowa? Nie tylko poetce wystarczyło tam być doraźnie, zwiedzać to miejsce, zadumać się nad jego dziejami i współczesnością, a przy tym spotkać twórców także zagranicznych. Otóż to wszystko się zdarzyło, kiedy mieszkający tam poeta i redaktor „Gazety Kulturalnej”, znakomity animator kultury literackiej i publicysta Andrzej Dębkowski, trzykrotnie zorganizował w Żelowie kilkudniowe Konfrontacje Literackie na skalę międzynarodową! Była tam Marta, byli inni piotrkowianie, stawili się zaproszeni luminarze literatury polskiej, naukowcy, poeci krytycy, media... Fantastyczna impreza, ale choć szeroko i daleko promująca Żelów, niebawem zakończyła swój żywot. W taką imprezę trzeba zainwestować, a możliwym starczyło przychylności tylko na trzy oddechy. Kapitał nie jest skory inwestować w to, z czego ponoć nic nie ma – w kulturę!

Samym piotrkowianom (rozumieć, że wszystkim kiedykolwiek związanym z tym miastem) autorka poświęca wiersz „Album” oparty na ciepłych wspomnieniach wywołanych przeglądem zdjęć w albumie, czyli z „zastygłej kroniki chwil / pulsującym rytmem miejsca / mojego dzieciństwa / młodości / i wertepów lat dojrzałych”. Jeszcze w nich słychać śmiech licealistek „Zrzeszenia” (II LO – dop. RO) i chłopców z „Chrobrego” (I LO), kolejne zdjęcia rodzinne, z uczniami, z poetami grupy „Pomosty”, „gdzie spełnione marzenie” – o twórczości. I tak oto:

*Do dziejów Trybunańskiego Grodu
dokładam ciche i nieznanne
cegielki moich marzeń
na wierność miastu
aż po niewiadomą granicę
czasu*

Granica czasu – kres życia. Nie znamy dnia ani godziny. Poznajemy je, gdy odchodzą inni, zwłaszcza bliscy. Po drodze przedtem jest życie. Niestety, pełne zagrożeń, którym do końca towarzyszy nadzieja na pokonanie chorób, odwiekanie ostateczności. Powierzamy swe dolegliwości medycynie – w poczekalni nie tylko dosłownej, tej w przychodni czy szpitalu. Starość, choroba to także poczekalnia.

W wierszu o niej autorka snuje smętną refleksję za pomocą przejmującego porównania: „Kiedyś podkowa nad drzwiami / wróżyła szczęście / teraz podkowy / pod oczami chorego / zwiastują podróż / ku granicy czasu” („Poczekalnia”). A w innym wierszu jak każdy kochający skarży się na to, że – dlaczego ty, a nie ja? Bo to „mnie wzywała Lete / i butny Charon w swojej łodzi”. Podmiot liryczny uciekł „spod kosy”, zdawało się iść ku lepszemu. Tymczasem: „czemuś pobiegł za horyzont – / rozstanie miało dać pociechę?”

4.

Rodzi się bunt z odwiecznym pytaniem: dlaczego?, na które nie ma odpowiedzi. Przystaje się wierzyć w pocieszenia typu „czas goi rany”. Jeśli goi to „jak dać życie zgasłym oczom?” („Brzemie”) Pozostaje smutek kierowany ku niebu. Kilka wierszy poświęconych zmarłemu mężowi: („Wigilia”, „Poczekalnia”, „Brzemie”, „**Jeszcze wosk skwierczy”, „Przed spotkaniem”), a zwłaszcza „Nawiedziń”, po których trzeba wrócić do domu, gdzie „wciąż twoja bliskość” – to przejmujące treny. A wrócić znaczy podjąć bolesną walkę z cierpieniem własnym, fizycznym, poddać się działaniom kobaltu i uwierzyć, że to nie ta pora: „wracaj na ziemię / tu jeszcze twój los” („Powrót”).

A tu, po powrocie – wiara i nadzieja w przełom. Czytamy:

*Nie ma znaczenia
że chmury i mrok –
trzeba wyrwać kartkę leż
z pamiętnika
użyć pręde
od bata podłogi
– skrzydłom odrosną pióra*

(„Przełom”)

Nadmierny optymizm, mrzonki? Nie. To siła wiary w odradzanie się życia – w poezji.

Skrzydła twórcze znów staną się gotowe do lotu, pióra im odrosną. Owszem, to marzenie, ale po najnowszych wierszach tomiku widać, że ono się spełnia. A skoro tak, to trzeba na nowo podjąć walkę ze złem, walkę o wrażliwość sumienia. W wierszu „Schizoid” (słowo to oznacza coś w rodzaju rozszczepienia osobniczej jaźni) czytamy krytyczną ocenę takich typów ludzi, którzy najpierw bronią „krzyża / wymachując ogniem wiary”, a potem świadomie omijają zagubionego starca, nie widzą tęczy w łezce dziecka, uciekają od prawdy, która uwiera ich własne sumienie. I nie słyszą „ciszy / rozpiętych ramion”. Symbolicznych – tych na krzyżu, czyli cierpienia oraz tych ciągle rzeczywistych, ludzkich, wyciągniętych po pomoc.

Poetka gorzko pisze o skrzeczącej rzeczywistości polskiej (przypomina w tym bolesne, kłujące, gorzko-patriotyczne wiersze Eugeniusza Szulborskiego), np. o prawdzie którą ustala większość zamiast ją odkrywać. Nie używa pospolitego już określenia „wyścig szczurów”, lecz plastycznego „wyścigu arlekinów po dobre wrażenie / w pogardzie dla oponentów / i w

paradach błaznów”. Wytyka, że nawet odkrytą prawdę „tłum będzie zmieniał” i to natychmiast, wielokrotnie, „jak wtedy – na sądzie Piłata” („Prawda”). Wreszcie odnosi się do zjawiska rugowania wszystkiego, co polskie, a tak łatwo przehandryczane. I konkluduje równie gorzko: „Lęk się unosi w biały dzień – / bo krew poległych pisze tren: / Boże, coś Polskę...” („Znów”), zamykając tym wierszem swój nowy tomik.

5.

Ileż refleksji z lektury tego niewielkiego tomiku wierszy! A przecież notuję tu tylko ich część. Nie analizuję formy utworów, ich precyzji myślowej i niebanalnej urody artystycznej, ich dominującej prawdy o ludzkich przeżyciach psychicznych i egzystencjalnych. Sporo tu cytuję, lecz nie dlatego, że nie można by tych wyimków zanalizować i opisać „własnymi słowami”, lecz dlatego, że byłyby wtedy odarte z piękna poezji i przekonującej siły wyrazu. Doprawdy, trudno wyjąć z tego zbioru utworów, który by – jako przykład wymienionych zalet – sam, bez komentarza, pokazał się w całej krasie. Po prostu takich jest większość. Przytoczę zatem, na koniec tych wywodów, wiersz otwierający tę książeczkę, w moim odczytaniu będący swoistym credo autorki jako osoby oraz jej poetyckich dokonań:

*Przewracanie kartki
jak szelest oranej gleby
to nadzieja
na harmonię myśli
zrodzonej ze spowiedzi serca
i na przyjaźń
której zaczynam jest
szczerze słowo
najbliższe duszy
w rozmowie z milczącym*

czasem

Powiedziano kiedyś, że Marta umie rozmawiać z Bogiem. Możliwe, ale na pewno umie prowadzić dialog z milczeniem...

RAFAŁ ORLEWSKI

Marta Pawlicka-Włóka, „Dialog milczenia”. Wstęp, wybór fragm. recenzji i opracowanie redakcyjne: Rafał Orlewski. Projekt okładki: Jerzy Włodzimierz Misztela. Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: Autorka. Zdjęcie poetki: Sławomir Hoffer. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piotrków Trybunalski 2012, s. 132.

Chwile – chwil

Nie tak dawno wpadł mi w ręce tomik poetycki **Joanny Mossakowskiej-Mikulskiej**. Poetki, która pisze przede wszystkim krótkie formy poetyckie, lecz pojemne wewnętrznie, często z bezosobowym podmiotem, mieszka w górach. Poetyka jej wywodzi się z bardzo uważnych obserwacji otoczenia, zgoła niezauważalnych „gołym okiem”. Joanna Mossakow-

ska bacznie obserwuje siebie samą w przyrodzie, idzie na spotkanie widoków i krajobrazów z własnym, odrębnym „ja”, uzmysławiając nam, że ruchu przestrzeni jest nośnością metafizyczną. Poetka znajduje bardzo szerokie porozumienie ze światem, z jego porami roku, z estetyką, w której główną postacią jest człowiek stojący w tle jak w zwierciadle... Jest w tej poezji jakby przedłużanie trwania każdej chwili, refleksje na przyszłość, otwartość, w której daje poetka prawo do życia, przewiduje i chce, żeby to, co wyłonione, trwało jak najdłużej. Jednakże jako podmiot staje się wobec metamorfoz bezbronny, ale rozumiejąca przemianę i jej naturalny cykl. Niczego nie da się zatrzymać – czas nadpala fotografie, nadgryza swoim zębem cenne rzeczy, kruszy kamień górski, łamie skrzydło ptaka. Jedynie w słowie można wszystko zatrzymać, ale tylko jakąś mocną chwilą, może śmiercią, lub zapisem chwili, która w wierszu zatrzymuje nas na dłużej – sztuka patrzenia i rozumienia zatrzymuje człowieka, wtedy już stajemy się inni, niepowtarzalni... Mówi poetka w wierszu bez tytułu (s. 5) tak:

*Wiosna
śpiew ptaków kipi mi przez palce*

Włącza się całym sobą w procesy, które nieodwracalnie zmierzają ku sobie – to może być piękne, ale też może być stratą, zderzeniem? Tylko poeta wierzy, że wszystko idzie zawsze tą lepszą stroną, choć nie powróci, jest już doświadczeniem. Przytoczmy inny wiersz bez tytułu (s. 7):

*Niepokój
jak słowik zadręczający noc
przykrywam rękami modlitwą
a on wciąż nieutulony
potężnieje*
(...)

Biegający czasownik, nocą – dniem, naznaczony jest tzw. „dziejbą”, w której rzeczownik gra główną rolę. Nieustanność – niezatrzymywanie... wiedzie nas przed siebie, to życie, erozja, erotyka... To jasne! – Pęd w nieznanne, pozostaje u poetki jakąś radosną trwogą, ciekawością, jednocześnie to jakiś cichy żal przechodzący w niepokój, nieposłuszeństwo zmysłowi, jakby nieuchwytny chochlik drąży chwilę i bezwiednie przekształca stany rzeczy...

U Joanny Mossakowskiej-Mikulskiej to „dzianie się” często napiętrza się lub wybucha z wielką siłą. Jej niesłychany słuch nie daje spokoju, „dręczy” w przeróżny sposób, jakby jej osobowość narażona była na stany znerwicowania(?), nie dające ukoić własnego „ja.”

*Między drzewem a drzewem
jest przestrzeń
gra wydłużając dźwięki
do błękitu
gdy podnoszę
głowę twarz oczy
spinając zachwyt tak głęboki
że ledwo zdążam chwycić się
ostatnich gałęzi*

Słuch, który jakby rozrasta się we wnętrzu, w niszy stanu Ducha, w jakiś niezrozumiały sposób trawi *alter ego*, ale poetka nie broni się zachłannie, idzie w taki stan, jakby na próbę otwarta, bywa narratorem, jest pasem transmisyjnym, który przekazuje wiedzę o Psyche natury. Poetka czasem bywa jak lawa wulkaniczna pokrywa kontury czasu, ale po chwili koi i ostyga następną chwilą. Autorka wierszy pisze przeważnie wiersze bez tytułu, gdyby je złożyć razem, powstałby jedno pasmo – poemat, który nazwałbym „chwile chwil”, czyli niepowtarzalność. – Ale przychodzą też do autorki pełnie słońca i pełnie księżycy.

Kolejny wiersz bez tytułu (s. 10):

*Pełnia
nawołuje zwierzęta
oświetla szlaki nieba
o których śnią
i chcą zapomnieć*

*rozpala każde legowisko
w błękitny stos niepokoju
zwierzęta zmęczone
wciąż zmieniają miejsca*

Pełnia nasza rozpala dom, roznieca radość, nad którą zawsze niepokój. Do zwierząt, w tym dobrym tego słowa znaczeniu, poetka porównuje nas oczywiście, już jako istoty myślące...

Przecież jesteśmy ich braćmi, wędrujemy całym sobą *non stop*, w swoich naturalnych czynach, w swoich postępkach złych czy dobrych razem obok siebie...

Ale i polujemy, z natury rzeczy, na siebie. Zmieniamy miejsca niewygodne, zagrożone, spłowiałe od rozgrzanych ciał na inne wygodniejsze i bezpieczniejsze. Poetka oznajmia, że nic nie ma bez lęku i niepokoju. To mechanizm napędzający każdy byt... trwanie.

Wiersz bez tytułu (s. 10) mówi:

*Bez lęku
z ramionami
w skrzydła
głową pełną
szepota łęk
idę*

Właściwie każdy wiersz, jego początek, zachynający się z dużej litery, może być tytułem wiersza. Oszczędność, pilnowanie, aby nie przegadać podmiotu i go nie zagłuszyć to domena poetyki. Dzięki temu wiersze są klarowne, nieskazitelne i całkowicie wolne od naleciałości. Poetka nie sugeruje się innymi poetami i ich tekstami. Zawsze można je na nowo otworzyć i za każdym razem inaczej będą te teksty brzmiały.

*Powoli krokami
zagęszczam obrazy
w brząz i czerń
pod niebem szarości
pochyłam odwracane
wszystkie lustra*

(Dokończenie na stronie 20)

Chwile – chwil

(Dokończenie ze strony 19)

Dalej mówi (s. 12) tak:

*Boję się gdy liść drżąc
spada na ziemię*

Napotkałem kiedyś podobny wers u jakiegoś poety anglojęzycznego. Napisał on:

„Kiedy zrywasz kwiat – spada gwiazda” – mówił to do swej kobiety, kiedy szła do ogrodu, poeta i filozof nigdy nikomu kwiatów nie kupował. Cóż to znaczy? – Poeta oznajmia, że kiedy ingerujemy w naturę, świat staje się inny, niepowracalny, niepowtarzalny i zagrożony. Oczywiście to przesada! – kwiaty są po to, żeby je dawać i cieszyć duszę kobietą. Natomiast poeta jest zawsze tym sumieniem natury, widzi wszystko w jaskrawszych kolorach... Przytoczmy zatem kolejny wiersz autorki (s. 12), a mówi ona dalej:

*Krowy pasące się
na niebosklonie
w dym owinięte z leśnych ognisk
plącz siekiery
w wilgotnym powietrzu
nad drzewem właśnie ściętym*

Reasumując, można właśnie się na tym oprzeć. Jest to poezja podziwiu i „ostrożności”, jest czynnikiem okazującym miłość wszechrzeczom, choć okazuje pewnego rodzaju zagrożenie dla pamięci, z której przyszliliśmy. Aż chce się powiedzieć za Jonaszem Koftą: „Pamiętajcie o ogrodach, z których przecież przyszliscie”. Poetka także pamięta o mężczyznach, jako do przeciwnej strony, jakby do lustra. Jest kobietą i odnajduje się jako wartość, poszukując spójności, partnerstwa. Mówi w wierszu (s. 21):

*Spotykam się z tobą
rozmawiam piję herbatę
ręką dotykam twojej twarzy
oswajam
z całych sił buduję sobie
przestronny dom cierpienia*

Wydaje się, że Joanna Mossakowska-Mikulska nieopatrznie, że taki dom kreacji zadziwienia w tym i radosnego cierpienia poetka zbudowała sobie, i teraz odbiera sobie wiersze na wskroś empatycznie – to interpretowanie w przyrodzie jest na wskroś radosne, troskliwsze niż by się zdawało naprawdę. Zapewne ma świadomość łaski dziedziczenia dobra, i jak wiem jest osobą skromną, przyjazną, i z niepowtarzalnym urokiem, jest także w życiu oszczędna w słowach, bogata w czynach miłości, cierpliwa, szanująca pokorę, albowiem bez niej nie ma sztuki prawdziwej. Jest bardzo

pozytywną osobowością na rzecz budowania pogody i przyjaźni wobec ludzi. Cała egzystencja poetki to takie chwile chwil.

ZBIGNIEW KRESOWATY

Joanna Mossakowska-Mikulska, „Chwile”. Ilustracje kreską: Katarzyna Citko. Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi.

Od krzyku ku ciszy

Poeta ten wydał już cztery tomiki wierszy. Robi to co kilka lata, a rzeczy te nie są duże, ale za to skromne, zawierające mocno skondensowane utwory, silnie oddziałujące na wyobraźnię i to dzięki prostocie formy, ale i tematyki nazywanej najczęściej elementami życia codziennego, w którym autor stara odnaleźć. Jego horyzont literackiego oglądu – to swoje miejsce w życiu, w mieście, ale i na szeroko pojętej Sądeckczyźnie. Wspomnienia ze świata tu właśnie odtwarzane z pamięci, ale i krajobraz Beskidu Sądeckiego, jak również nasze góry – Tatry – to centra jego inspiracji artystycznej. Innym motywem tego zbioru jest miłość i kobieta, którym to zjawiskom wziętym przez pryzmat własnego życia poeta poświęca wiele uwagi i z namaszczeniem je nieustannie przeżywa, a nawet celebruje.

Zamysłem i myślą przewodnią całości tej książeczki jest niewątpliwie życie człowieka: od wydania pierwszego krzyku po urodzeniu, aż do momentu, kiedy spocznie w ciszy na wieki. Mając już bogate doświadczenie i wiek po temu, **Tadeusz Basiaga** obserwuje swoje istnienie i widzi, że ten krzyk stopniowo jest coraz słabszy, mniej słyszalny w gwarze i hałasie współczesnego świata, a sam z premedytacją dąży właśnie: „ku ciszy”, coraz chętniej z nią obcuje, nawet delektuje się nią, by w ten sposób oswoić się z własnym losem, i przemijaniem. Jest to niewątpliwie przykład znakomitej dialektyki życia indywidualnego, złożonego ze sprzeciwień codzienności, z których jedno to krzyk, drugie to właśnie cisza. Syntezą wydaje się tu być jakby przyrost przysłowiowego stoickiego spokoju, który towarzyszy coraz częściej jego wyborom codziennym. W wierszu „Krzyk”, zamieszczonym w pierwszej części książeczki dowiadujemy się, że: „pierwszy krzyk / to żal / za miejscem czasem / który opuściłeś / lek brak zgody / na świat / jaki się otworzył / czy dobitne i jasne / stwierdzenie / jestem / wstało słońce / wstał nowy dzień”.

Wraz z życiem i kulturowaniem pamięci człowiek staje się sobą, staje się również coraz bardziej pamiętliwy, co poeta zauważa, ale również widzi, że wartości wyznawane są coraz bardziej relatywne i kwestionują

prawdy o codzienności. Można się buntować, z czego nic dobrego nie wynika, ale warto w tym sprzeciwie celebrować w oparciu o pamięć i miłość do matki, kochanej kobiety te cudowne emocje – przejawy najszlachetniejszych związków międzyludzkich. I dobrze to robić na ołtarzu przyrody, gdzie muzyka ciszy jest coraz bardziej potrzebna, bo pozwala rozumieć przemijalność oraz to, co jest w niej faktycznie wartościowe. W poezji tej człowiek pozostając w centrum wirującej wokół rzeczywistości i odnajduje wtedy tę igłę kompasu kierującą go ku ciszy, dającą oddech i uspokojenie. Wspomnienia coraz bardziej majaczą, dom rodzinny i gród zarastają badiwaniem i coraz trudniej zobaczyć tam ścieżki młodości, a wszystko powoli zabiera się tu – ku ciszy. Pozostaje jeszcze nadzieja – ta forma bycia w świecie: w otulinach jego ciepłych dłoni, bo jedynie dotyk mówi tu prawdę. Wreszcie Basiaga w wierszu pt. „Cisza”, uchyla trochę wiedzy o jej treści i pisze: „w tej ciszy / jest krzyk / przeszłości // a tak cicho”. Dla poety kolejny wiersz staje się jakby nerwem czuciowym rzeczywistości. Póki żyje, to pisze. Jego poezja przekształca się w narzędzie rozmowy istotnej z tym nieosiągalnym absolutem: marzeniem każdego człowieka, którego inni nazywają Bogiem. Nie chcąc jednak bluźnić, delikatnie konstatuje: „wszystko milczy / nasze słowa / milczą / nawet w wierszach / brak słów // na początku było słowo / czy koniec należy / do ciszy” – zapytuje w wierszu bez tytułu.

Poeta proponuje w konsekwencji wspinaczkę w góry, na szczyty, bo tam właśnie widzi i słyszy pełną ciszę i nawet nie przeszkadza mu szum wiatru, głos ptaka, szmeranie strumyka. W górach odkrywa swoje niebo już za życia, wchodzi na szczyt, w pełni szczęścia i doznaje olśnienia, że ten szczyt tkwi w nim. W wierszu „Taternik” pisze więc: „ściana trwania / jak bardziej odczuć / życie piękno / – może iść / – idę // w moich rękach / odtwarzam rzeźbę / Tatr / odtwarzam siebie”. Basiadze chodzi, w swym osobistym rozrachunku z życiem, by pozostać ponad nieskończoność, a więc, by jeszcze być, kiedy już go nie będzie, być może w „gromobicu ciszy”. To bardzo wygórowane marzenie poety sądeckiego, ale marzenia są jedynie marzeniami. Należy mu jednak tego życzyć, bo jego wiersze dobrze wróżą temu ma głęboko skrywanemu przekonaniu.

PROF. IGNACY S. FIUT

Tadeusz Basiaga, „Ku ciszy”. Rysunek na okładce i w książce: Janusz Jedynek. Wydawca: Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana, Nowy Sącz 2012, s. 40.

Filozofia codziennosci (72)



Przyjmuję za Bolesławem J. Gaweckim – wybitnym, acz nie docenianym i zapomnianym filozofem XX wieku – że wartości mają charakter subiektywno-obiektywny. Filozof ten odróżnia oceny właściwe, czyli w ścisłym tego słowa znaczeniu, od ocen użytecznych, które są dokonywane z punktu widzenia pożytku określonego podmiotu.

Zdaniem B. J. Gaweckiego nie znamy wartości w sobie lecz jedynie ich wygląd dla nas. Jako obiektywne uznajemy te wartości, co do których możemy liczyć na powszechną zgodę. Ścierają się różnorodne oceny. Ustalane tą drogą wartości są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Wartości są pewnymi cechami rzeczy w odniesieniu do oceniających je podmiotów. Ocenianie stanowi dodatkową charakterystykę poznanych przedmiotów. Jest ona zbędna na przykład w przypadku wysiłków poznawczych przyrodników. Oceny są uwarunkowane między innymi czynnikami indywidualnymi, a więc nie są ustalone raz na zawsze. Mają charakter subiektywno-obiektywny. Wartości tworzą się jako skutek relacji między przedmiotem poznawanym a poznającym podmiotem. Nie są więc dowolne. Bywają oceny intersubiektywne w granicach danego typu kultury.

Najwyższe wartości dodatnie są ideałami. Niektórzy, jak Platon, nadawali im obiektywne istnienie. Uznał on dobro jako ideał nadrzędny, hierarchicznie najwyższy. Dla naszych czasów, począwszy od XX wieku, charakterystyczna jest tendencja, by pojmować ideały jako istniejące w świadomości człowieka. Według B. J. Gaweckiego obiektywne są te wartości, co do których możemy liczyć na powszechną zgodę.

Wartości tworzą się w odniesieniu do ocenianych przedmiotów. Następnie oceny są przekazywane do wiadomości innym jednostkom, które w następstwie odkrywają w przedmiotach właśnie te cechy.

Wartość jest ogólnym terminem, którego desygnatami są różnorodne wartości określane nazwami: dobro, użyteczność, piękno, *etc.* Tam, gdzie brak ocen – nie ma mowy o wartościach. Oceny w sposób nieświadomy są uwarunkowane przez kulturę w kręgu której wzrasta dany człowiek.

Funkcjonują różnorodne, często sprzeczne teorie wartości. Trafne jest rozgraniczanie wartości idealnych oraz wartości kulturowych.

Etyka to termin wprowadzony przez Arystotelesa. Zamiennie można używać nazw: teoria moralności bądź filozofia moralności. Niektórzy używają zamiennie nazw etyka oraz moralność. Należy jednak odróżniać etykę jako naukę o moralności od moralności, czyli funkcjonujących w społeczeństwie poglądów mających swój wyraz w postępowaniu człowieka. Można określić moralność jako etykę w działaniu. Etyka to dział filozofii odnoszący się do wartości dobra i zła. Takie określenie etyki jest jednak nieprecyzyjne, bowiem wyłącza z jej zakresu te teorie etyczne, które budują etykę w odniesieniu do innych wartości niż dobro i zło.

W języku potocznym używa się nazw etyka i moralność zamiennie. Zdarza się też nazwa łączna; na przykład poglądy, czy postawa etyczno-moralna. Potocznie, aczkolwiek nie tylko, pojmuje się etykę jako zespół norm kształtujących postawy jednostek. Jednakże znamienne dla etyki Kanta oraz wielu teorii etycznych XX wieku jest odejście od formułowania norm. Są systemy etyczne zgodne z którymi motyw podejmowanych czynów decyduje o ich moralności. Są też systemy etyczne nie formułujące nakazów i zakazów, lecz upatrujące w odpowiednim dokonaniem wyborze przejawów moralności, bądź jej braku.

Świat człowieka jest światem rozmaitych wartości. Są poglądy głoszące ich absolutną niezmienną oraz poglądy zajmujące przeciwstawne stanowisko. Zmienność wartości bywa, po pierwsze, uzależniana od właściwości poszczególnych jednostek. Taki pogląd określa się mianem indywidualizmu w teorii wartości. Po drugie, zmienność wartości bywa w niektórych teoriach uzależniana od miejsca i czasu. Taki pogląd określa się mianem relatywizmu. Jest to pogląd w myśl którego wartości mają charakter względny. Zmienność wartości bywa, po trzecie, uzależniana od milczącej umowy w społeczeństwie, która określa to, co wartościowe. Dzięki temu możliwe jest porozumienie jednostek w społeczeństwie. Pogląd ten określa się mianem konwencjonalizmu, bowiem umowa leży u podstaw funkcjonowania określonych wartości i zgody na te wartości.

Należy dodać na marginesie, że w teoriach demokracji formułowanych w XX wieku i mających źródło w neokantyzmie, wskazywany jest nierozdzielny związek tego ustroju z relatywizmem. Relatywizm wykazuje zmienność wartości w ciągu następujących po sobie epok, czyli w czasie oraz ich zależność od miejsca w którym ktoś wypowiada poglądy, a więc zarazem szerzej od rodzaju kultury, która kształtuje świadomość jednostek. W związku z błędnymi

interpretacjami tego pojęcia funkcjonującymi ostatnio w naszym życiu publicznym, należy dodać, że **relatywizm nie ma nic wspólnego z decyzjami większości społeczeństwa**, czy wynikami głosowania. Relatywiści przeczą istnieniu wspólnych ogólnoludzkich wartości. Absolutyści natomiast przyjmują istnienie wartości niezmiennych dla wszystkich ludzi we wszystkich czasach.

Wyróżnik człowieczeństwa oraz trójwymiarowość istnienia

Począwszy od starożytności ponawiane jest pytanie o wyróżnik człowieczeństwa, inaczej znamię, czyli o szczególną właściwość znamionującą tylko i wyłącznie człowieka. Najwcześniejsza odpowiedź została sformułowana w starożytności i do dzisiejszego dnia ma swoich zwolenników. Bowiem w filozofii nowe teorie nie podważają funkcjonujących wcześniej. Natomiast w naukach szczegółowych sytuacja jest odmienna. Na przykład teoria Kopernika w astronomii podważyła teorię Ptolemeusza, która obecnie należy jedynie do historii astronomii. W filozofii, a w tym w etyce, funkcjonują różnorodne, często nawet sprzeczne teorie z jednakowym uprawnieniem do prawdziwości.

W starożytności wskazano na **rozum** jako szczególną właściwość człowieka. W czasach średniowiecza, pod wpływem chrześcijaństwa, został sformułowany pogląd w myśl którego niepowtarzalną właściwością człowieka jest **ducha nieśmiertelna**. Ten pogląd funkcjonuje nadal na gruncie etyki chrześcijańskiej.

Rozumność człowieka jako cechę znamionującą wyłącznie człowieka podważyły badania uczonych w XX wieku. Mianowicie okazało się, że wysoką inteligencją odznaczają się także niektóre gatunki zwierząt, by wymienić delfiny, słonie, czy świny. W pierwszej połowie XX wieku myśliciel i pisarz, Maeterlinck, napisał książkę „Inteligencja kwiatów”. Nie pierwszy raz zdarzyło się, że pisarze mocą swojej intuicji i wyobraźni wcześniej odkrywają niektóre zjawiska niż uczeni. Tak było i w tym przypadku. Dopiero w drugiej połowie XX wieku w laboratoriach radzieckich i amerykańskich wykazano wrażliwość roślin.

Poszukując innej niż rozum odpowiedzi na pytanie o niepowtarzalną właściwość człowieka – wskazano zdolność do tworzenia kultury. Zgodnie z dzisiejszymi ustaleniami nie ma żadnych śladów kultury w świecie roślinnym i zwierzęcym. Wspaniałe budowle architektoniczne pszczoł, czy termitów, by podać ten przykład – uczeni wyjaśniają działaniem instynktu.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Jesteśmy szczęśliwi

*Niebo czerwone jak krew
ziemia pęknięte czoło
w taką noc nie jeden ślepi
i za twój dach nad głową
Niebo czyste łagodne jak sen
ziemia rodzona Polska
żebyś mógł widzieć każdy dzień
są tacy ludzie bez słońca
Polscy ociemnieli żołnierze*

Siedzę sobie w salonie mych myśli. Nad głową mam dach, a wokół rodzoną Polskę. I tak sobie myślę o świecie, o ludzkości, o miłości, o ludzkiej głupocie i mądrości, o nieśmiertelnej władzy pieniądza, który światem zarządza. Jest rok 2012 piętnasty dzień sierpnia, Święto Wojska Polskiego, 92. rocznica zwycięstwa Polski nad Rosją bolszewicką. Zwycięstwa zwanego „cudem nad Wisłą”. To wtedy pod dowództwem Józefa Piłsudskiego polscy żołnierze uratowali Europę przed piekłem komunizmu, leninizmu i stalinizmu. Nie uratowali nas przed hitleryzmem, przed okrutną niemiecką okupacją, przed ludobójstwem narodów w czasie Drugiej Wojny Światowej rozpoczętej 1 września 1939 roku, a zakończonej zwycięstwem nad hitlerowskimi Niemcami w maju 1945 roku.

Dziś w Polsce jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój w Europie. Powstała Unia Europejska, do której Polska należy. Utrwała się przyjaźń skłóconych w przeszłości narodów polskiego i niemieckiego.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Już sześćdziesiąt siedem lat trwa pokój. Nikt nas Polaków nie wysłał do hitlerowskich koncentracyjnych obozów zagłady na śmierć w komorach gazowych razem z małymi dziećmi. Nikt naszych polskich jeńców wojennych nie morduje strzałem w tył głowy, tak jak to było w Katyniu 1940 roku za czasów i rządów Józefa Stalina.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Popatrzcie! Kwitną kwiaty kolorami tysiąca tęczy. Posłuchajcie jak śpiewają kwiaty melodiami zapachów i pomyślcie, że przekwitają kwiaty w nasiona nadziei. Jak ten czas szybko leci. Nie tak dawno rozmawialiśmy tu w salonie mych myśli, o greckim filozofie Sokratesie, o starożytnej Grecji, ojczyźnie olimpiad w imię pokoju.

Jak ten czas szybko leci. Trzy dni temu, 12 sierpnia, w niedzielę, już się skończyła trzydziesta nowożytna olimpiada igrzysk sportowych, która się odbywała w Londynie przez dwa tygodnie. Cały świat podziwiał te igrzyska odbywające się w imię pokoju i przyjaźni, w duchu szlachetnej rywalizacji i wszechstronnej uczciwości. Wybrani sportowcy z całego świata, z Europy, obu Ameryk: północnej i południowej, z Afryki, Australii i Azji, heroicznym wysiłkiem swego ciała, ducha i umysłu toczyli żelazny bój o złoto. O złote medale mistrzów olimpijskich.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Jak ten czas szybko leci. Już jest siedemnasty dzień sierpnia roku 2012. Do Polski przyjechał Cyryl I, prawosławny patriarcha Moskwy i Wszechrusi, aby dzisiaj w Warszawie z przewodniczącym Episkopatu Polskiego Kościoła Katolickiego Arcybiskupem Józefem Michalikiem podpisać przesłanie o pojednaniu dwóch narodów, polskiego i rosyjskiego. Aby przekwitłe kwiaty ludzkiego zła wykielkowały z nasion nadziei kwiatami ludzkiego dobra w imię chrześcijańskiej wspólnoty wierzących i niewierzących chrześcijan.

– Tak, tak rozmyślający nasz Autorze i tych niewierzących chrześcijan także, jak to trafnie powiedziałeś – powiedział filozof Pan Nietwór wchodząc do salonu mych myśli w towarzysztwie swego asystenta Daniela Spaniela.

– Miłość ci wszystko wybaczy. Smutek zamieni ci w śmiech. Miłość tak pięknie tłumaczy, zdradę i kłamstwo i grzech. Choćbyś ją przeklął w rozpacz, że jest okrutna i zła. Miłość ci wszystko wybaczy, bo miłość mój miły to ja.

– Ach jak to pięknie, że nasza Wiosna, na nasze powitanie, puściła tę płytę z Hanką Ordonówną, która tak wzruszająco śpiewa, że miłość ci wszystko wybaczy – wyraził swój zachwyt Daniel Spaniel i siadając do stołu postawił na nim butlę czerwonego wina.

– *In vino veritas*, mawiali rzymianie – ogłosiła wszem i wobec swoim bursztynowym głosem Wiosna, przynosząc z kuchni do salonu duży półmisek, na którym znajdowała się sterta przysmażonych na klarowanym maśle smakowitych naleśników wypełnionych serem i rodzynkami. To wszystko po to, żeby nam się dobrze piło, rozmawiało, rozprawiało, śmiało i wymyślało niestworzone rzeczy. *Roma locuta, causa finita*. Idę po sztucce i kieliszki do wina.

– To raczej, *Wiosna locuta, causa finita* – poprawił wypowiedź Wiosny, Pan Nietwór. A potem przytulił ją do siebie i ucałował w policzek, uśmiechając się jak zwykle filozoficznie.

– Taka jesteś bajeczna. Taka jesteś ko-

nieczna, Wiosno przy naszym stole w salonie mych myśli. Jesteś upojnym wierszem zmysłów, który delikatnymi paluszkami wyobraźni wyjmuję z nas na zewnątrz piękno człowieka, abyśmy kochali jedni drugich pijąc wino życia i smakując słodkie naleśniki wzajemnej przyjaźni. Aby jak mówisz wymyślać niestworzone rzeczy. A tobie mój Danielu powiem, że miłość wszystkiego nie może ludziom wybaczyć, chociaż Hanka Ordonówna śpiewa tak wzruszająco, że może, a jednak nie może i nie powinna.

Dziś wszystkie polskie media informacyjne huczą i grzmią na temat strasznej afery, oszustwa finansowego dokonanego przez spółkę Amber Gold, której założycielem i prezesem był Pan Marcin P. Był, bo firma ogłosiła upadłość. Siedem tysięcy klientów w tym wielu emerytów straciło swoje oszczędności życiowe umieszczając je na lokatach w firmie Amber Gold, obiecującej wysoki procent dochodowości. Firma nie posiadała licencji na prowadzenie lokat bankowo-finansowych. I wszystko diabli wzięli, a właściwie jeden diabeł, Lucyper Amber Gold. Miłość ci wszystko wybaczy. Śpiewa Hanka Ordonówna.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Oszuści spokojnie mogą nas oszukiwać w państwie prawa kokietowanego skutecznie przez bezprawie. Miłość tak pięknie tłumaczy, zdradę i kłamstwo i grzech.

*Niebo czerwone jak krew
ziemia pęknięte czoło
w taką noc nie jeden ślepi
i za twój dach nad głową*

To bursztynowy głos Wiosny odsłania prawdę polskiej rzeczywistości. Żebyś mógł widzieć każdy dzień są tacy ludzie bez słońca. Polscy ociemnieli żołnierze, a mówiąc naga prawdę, polscy oszukani ociemnieli żołnierze, inwalidzi wojenni Drugiej Wojny Światowej.

– Jak to możliwe, w naszej Ojczyźnie – zawołał Daniel zrywając się z miejsca na równe nogi. To jakaś zdrada. Dlaczego media polskie o tym milczą. Miłość tak pięknie tłumaczy, zdradę i kłamstwo, i grzech. Śpiewa Hanka Ordonówna.

– Usiądź, Danielu – powiedział Pan Nietwór. Ja ci to wytłumaczę. Otóż po Drugiej Wojnie Światowej w Polsce Ludowej inwalidzi wojenni ciężko poszkodowani, w tym ociemnieli żołnierze za poniesiony uszczerbek na zdrowiu w walce z wrogiem o niepodległość i wolność Polski, otrzymali rentę wojenną. Wielu dzielnych ociemniałych żołnierzy, mimo swego kalectwa podjęło pracę zawodową w różnych ciekawych dziedzinach, tak jak np. nasz Autor w dziedzinie twórczości literackiej i poetycko-pieśniarskiej działalności estradowej. Wszyscy pracujący inwalidzi zgodnie z obowiązującym prawem płacili składki emerytalne do ZUS gwarantujące otrzymanie w pełnej wysokości wypracowanej emerytury. A tymczasem nasza niepodległa, demokratyczna,

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Janusz Andrzejczak, „Łagodnia”. Projekt okładki: Elta Zaręba. Rysunek z tyłu okładki: Janusz Andrzejczak. ARCANA, Kraków 2012, s. 64.

Małgorzata Bobak, „Brzydka”. Redakcja: Kazimierz Linda. Projekt okładki: Arkadiusz Salwa. Fotografie: Stanisław Bobak, Marzena Darul, Damian Paweł, Małgorzata Bobak. Przedmowa: Barbara Mazurkiewicz. Wydawnictwo i Drukarnia Diecezjalna, Tychy 2012, s. 84.

Barbara Gruszka-Zych, „Szara jak wróbel”. Zdjęcia: Błażej Zych. *Biblioteka „Toposu”*, tom 76. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 42.

„Horyzonty. Almanach V liryki, satyry i prozy Klubu Literackiego »Metafora«”. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył: Andrzej Zaniewski. Redakcja: Bogusław Łopuszyński, Tadeusz J. Maryniak. Projekt okładki: Piotr Szalkowski. Wydawca: Ośrodek Kultury „ARSUS”, Warszawa 2012, s. 200.

Stanisław Kamykowski, „Ś.P. 16.04.1987-16.04.2012”. Projekt okładki: Gustaw Grochowski. Wrocław 2012, s. 38.

Zygmunt Krukowski, „Rzeczy R”. Portrety na I i IV stronie okładki ze zbiorów prywatnych rodziny autora. *Biblioteka „Toposu”*, tom 74. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 58.

Krzysztof Niewrzęda, „Popiół”. Zdjęcie autora, zdjęcia na okładce i w książce Dorota Damaschke. Na zdjęciach wykorzystano fotografię autora wykonaną przez Izabellę Pajonk. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 56.

Jan Polkowski, „Głosy”. Zdjęcia Marysia Gąsecka. *Biblioteka „Toposu”*, tom 75. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 32.

Małgorzata Południak, „Czekając na Malinę”. Fotografie i fotomontaże: Rafał Babczyński. Opracowanie graficzne: Mateusz Osajda. Posłowie: Cezary Sikorski. Korekta: Dorota Surdyk. Wydawca: Zaulek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2012, s. 118.

Wanda Spalińska, „I jest pięknie”. Na okładce obraz Anny Chetmickiej *Słoneczniki* ze zbiorów Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2012, s. 104.

Andrzej Te, „wystarczy zalać. Zbór wierszy, których nikt nie czyta”. Korekta: Magdalena Geraga. Projekt okładki: Andrzej Te i Sebastian Bieganiak. Warszawska Firma Wydawnicza s.c., Warszawa 2011, s. 36.

Jerzy Utkin, „Pod żadną gwiazdą. Utwory

wybrane z lat 1992-2008”. Redakcja: Zuzanna Przeworska. Ilustracja na okładce: Dariusz Kaleta – *Weneckie małżeństwa smoka* (olej). Wydawca: Wydawnictwo Media Zet Zuzanna Przeworska, Piła 2012, s. 52.

Bohdan Zadura, „Zmartwychwstanie ptaszka, (wiersze i sny). Rysunek: Julita Nowosad. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Biuro Literackie, Wrocław 2012, s. 84.

Patryk Zimny, „Przejsię”. Zdjęcie autora: Justyna Hinz. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo KORMA, Miejska Biblioteka Publiczna w Łęborku, Szczecin-Bezrzecze-Łębork 2012, s. 50.

PROZA

Hubert Hurbański, „PRacownik”. Redakcja i korekta: Róża Czerniawska-Karcz. Projekt okładki: Michał Ziółkowski i Hubert Hurbański. Wydawnictwo Promocyjne Albatros, Szczecin 2009, s. 136.

Kazimierz Ivosse, „Księga ciszy. Powieść”. Projekt okładki: Kazimierz Ivosse. Wydawca: P.W. Kolor-Druk, Jarosław 2012, s. 444.

Gabriel Leonard Kamiński, „Pan Swen i albo wrocławska abrakadabra”. Zdjęcie autora: Małgorzata Ostrowska. Grafiki na okładce i w książce: Teresa Rachwał. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska im. Stanisława Staszica. Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 124.

Konrad Ludwicki, „Ściana i inne miniatury”. Opracowanie typograficzne oraz projekt okładki: Władysław E. Piekarski przy wykorzystaniu reprodukcji obrazu *Lustro* Małgorzaty Stępiak. *Częstochowska biblioteczka Poetów i Prozaików*. Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2012, s. 170.

Aleksander Makowski, „Tropiąc Bin Laden. W agańskiej matni 1997-2007”. Opracowanie redakcyjne: Mirosław Grabowski. Zdjęcie na okładce: John Downing / Hulton Archive-Editorial / Getty Images / Flash Press Media. Zdjęcia zamieszczone w książce pochodzą z prywatnych zbiorów autora. Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2012, s. 424 +16 nlb.

Andrzej Te, „Dzieci TV”. Redakcja i korekta: Hanna Kukwa. Projekt okładki: Andrzej Te. Wydawnictwo Jirafa Roja, Warszawa 2012, s. 126.

Andrzej Te, „Freelancer”. Redakcja: Zuzanna Gościńska-Miotk. Korekta: Katarzyna Juszczyńska. Projekt okładki: Paulina Radomska-Sierkowska. Nova Ree – Wydawnictwo Innowacyjne, Gdynia 2012, s. 332.

Tadeusz Zubiński, „Rzymska wojna”. Zdjęcie autora Liliana Zubińska. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcie na okładce: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Książnica Pomorska im. Stanisława Staszica, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 178.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Ivan Colović, „Etno. Opowieści o muzyce świata w Internecie”. Przełożyła: Magdalena Petryńska. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. Seria *Meridian*. Fundacja Pogranicze. Sejny 2012, s. 328.

Jan Darowski, „Unsere”. Posłowie: Alicja Jakubowska-Ożóg. Opracowanie graficzne: Janusz Górnicki. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2012, s. 175.

Andrzej Dybczak, „Gugara”. Projekt okładki: Agnieszka Pasińska / Pracownia Papierówka. Fotografie na okładce: Patryk Jordanowicz. Fotografia autora: Justyna Matwijewicz. Fotografia wewnątrz tomu pochodzi z archiwum autora. Projekt typograficzny Robert Oleś / D2D.PL. Seria *reportaż*. Wydawnictwo Czarne. Wołowiec 2012, s. 176.

Irena Grudzińska-Gross, „Honor, horror i klasyści. Eseje”. Opracowanie graficzne: Krzysztof Czyżewski. Seria *Meridian*. Fundacja Pogranicze, Sejny 2012, s. 214.

Leszek Szaruga, „Kanibale lubią ludzi. Aforyzmy”. Zdjęcie autora: Zuzanna Grębecka. Obraz na okładce: Jarosław Eysymont. Rysunki w książce: Artur Daniel Liskowacki. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA. Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 94.

Wiesława Wierzychowska, „Rozmowy Homera”. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Krystyna Bukowczyk. Fotografia na okładce (Itaka): Kazimierz Lech Wierzychowski. Agencja KUBA. Warszawa 2012, s. 120.

Ryszard Wołański, „Eugeniusz Bodo »Już taki jestem zimny drań«”. Przedmowa: Bohdan Łazuka. Projekt i opracowanie graficzne okładki na podstawie projektu okładki tygodnika „Kino” z maja 1931 roku: Zbigniew Mielnik. Fotografia na okładce: Benedykt Jerzy Dorys z prywatnego archiwum Ludwika Dobrzyńskiego. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012, s. 408.

Marta Wyka, „Czytanie Brzozowskiego”. Projekt okładki i stron tytułowych: Sepielak. Seria *Krytyka XX i XXI wieku*, tom 16. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIJ-ERSITAS, Kraków 2012, s. 422.

[ad]

Jesteśmy szczęśliwi

(Dokończenie ze strony 22)

chrześcijańska Polska czcząc inwalidów wojennych, decyzją władz państwa, sejmu i senatu pod przywództwem prezydenta i premiera ociemniałym żołnierzom pieniądze zabiera. A mianowicie, gdy ociemniały żołnierz pobiera dwa świadczenia przysługujące mu z powodu dwóch niezależnych od siebie przyczyn prawnych, to wtedy obecne państwo polskie nie wypłaca mu połowy jednego ze świadczeń, albo emerytury albo renty wojennej. Ten prawny proceder legalizowanego oszustwa ociemniałych żołnierzów trwa już 22 lata. Jak ten czas szybko leci. Ile już tych pieniędzy poleciało. Ociemniali nie widzą pieniędzy. Nie dopatrz się oszustwa, bo pieniądze szczęścia nie dają. Na temat tej prawdy może nam coś powiedzieć prezes spółki Amber Gold. Ma 28 lat i milionowe kłopoty z powodu pieniędzy. Grozi mu długoletni pobyt w więzieniu. Jak ten czas szybko leci. Dzisiaj w Polsce nie będzie więcej niż pół setki ociemniałych żołnierzów.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Żebyśmy się nie czuli społecznie poniżeni z powodu braku wzroku, władze dzisiejszego państwa polskiego, poczynając od sejmu, także są niewidome. Nie czytają poezji, aby nie usłyszeć gorzkiej prawdy o sobie przy słodkich naleśnikach popijanych czerwonym winem w salonie mych myśli. Bo miłość mój miły to ja. Śpiewa Hanka Ordonówna wzruszającym głosem.

Jesteśmy szczęśliwi. Trwa pokój. Jesteśmy oszukiwani. Trwa pokój. Jesteśmy w salonie mych myśli. Powiedziałem do moich gości – moi drodzy, kto teraz pierwszy zacznie wymyślać niestworzone rzeczy?

– Ja! – powiedziała bursztynowym głosem złotowłosa niebiańsko oka Wiosna – ale przed tym musimy wszyscy zawinąć. A więc Panowie za wino. Stuknijmy się kieliszkami.

– Albo stuknijmy się w czoło – powiedział Pan Nietwór i nie spełniając swej propozycji wychylił kielich do dna. Już próżny postawił na stole.

– Próżność tego kielicha przypomina mi Polskę – powiedział Daniel Spaniel.

– Zaraz ci też przypomni Polskę, gdy go znowu napelnię, Danielu.

– Wieloma karkołomnymi problemami – dopełnił wypowiedź Wiosny Pan Nietwór i uśmiechnął się enigmatycznie zgodnie z prawem w sposób jednoznaczny.

Jak ten czas szybko leci między ustami a brzegiem pucharu – pomyślał Autor. Wypił wino i postawił na stole zdania pustą kropkę.

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Obietnica prawdy

(Dokończenie ze strony 2)

Wagę słowa w tym kontekście dobrze ujmuje wspólny wielu językom zwrot „daję słowo”, czyli: całym sobą zaświadczam, że jest właśnie tak a tak.

Sprzężenie słowa z prawdą w szczególności sposób uwidacznia się w religii – nie przypadkiem wielkie religie świata gromadzą ludzi właśnie wokół słowa i są religiami słowa nazywane, a głoszona przez nie etyka płynie ze „wsluchiwanie się w słowo”. Religijność jest więc próbą udzielenia odpowiedzi na słowo, które człowiek postrzega jako absolutne. Jedyne właściwą odpowiedzią okazuje się wówczas odpowiedź życia. Jej istotę, a zarazem ów dialogiczny wymiar religii z niezwykłą wrażliwością uchwycił w obrazie *Zimowy pejzaż* Caspar David Friedrich, umieszczając na tle surowego, zimnego krajobrazu, w którym dominują pustka i cisza, małą sylwetkę kaleki, który porzucił w śniegu swoje kule, by doczołgać się do samotnego krzyża i ofiarować Bogu modlitwę, ufny, że jego cierpienie wpisane jest w sens świata. Chrześcijaństwo, będąc religią słowa, jest bowiem również religią obietnicy, że świat ma sens, że sens mają słowa, jakimi człowiek stara się ten sens wypowiadać i że człowiek potrafi te słowa formułować. W Prologu Ewangelii według św. Jana Słowo przychodzi do ludzi i się im powierza, poprzez siebie ukazując im sens świata i pozwalając im przejąć o niego troskę.

Nie wiemy, czy były to słowa, co dokładnie znaczyły, ale najpewniej zostały odczytane przez każdego z rozsierdzonych oskarżycieli w kontekście jego własnego życia. Dlatego tłum się rozszedł. I dopiero wtedy Chrystus odezwał się do kobiety (zob. J 8, 1-11).

Wiara w wartość słowa, zawsze będącą jakimś imieniem prawdy, towarzyszy człowiekowi na przekór absuradowi rzeczywistości, który sprawia, że często zderza się ono z niemożliwością jej adekwatnego nazwania.

Słowo odczytuje również granice sensu, wskazując jednocześnie na granice ludzkiej myśli: czego nie da się pomyśleć, tego nie da się wypowiedzieć. Zagadnieniu temu poświęcił swoją pracę na temat „archeologii słowa” Michel Foucault³, zainspirowany jednym z tekstów Borgesa, który przytacza z kolei „pewną encyklopedię chińską”⁴.

W owej encyklopedii przedstawiono klasyfikację zwierząt, gdzie w równoległych kategoriach figurują zwierzęta: należące do cesarza; zabalsmowane; tresowane; prosięta; syreny; fantastyczne; bepańskie psy; włączone do tej klasyfikacji; miotające się jak szalone; niezliczone; narysowane cienkim pędzlem z wielbłądziejego włosa; et

cetera; które właśnie rozbiły wazon i które z daleka podobne są do much. „Oslupienie ową taksonomią – pisze Foucault – uświadamia nam nagle, że to, co [...] miało uchodzić za egzotyczny urok innego myślenia, jest granicą naszej myśli – czystą niemożliwością myślenia w taki sposób”⁵.

Foucault zatem również wyraża przekonanie, że słowo u swych podstaw nazywa ład świata we wszystkich jego modalnościach i że w sposób naturalny jest jego odzwierciedleniem. Domaga się tego ład myśli, bez którego ludzki umysł popada w bezradność i poznawczy chaos. Postulat precyzji słowa, a wręcz precyzji języka na poziomie zdania, w skrajny sposób wyraził austriacki pisarz Karl Kraus, który usłyszawszy – na łożu śmierci – o japońskiej inwazji na Mandżurię, miał powiedzieć: „Nie doszłoby do tych wszystkich katastrof, gdyby ludzie byli bardziej rygorystyczni w posługiwaniu się przecinkiem”⁶.

Czy zepsucie języka może być przyczyną zła? Do odpowiedzi na to pytanie zapraszamy czytelników niniejszego tomu „Ethosu”, w którym zebraliśmy artykuły ujmujące różne wymiary słowa: słowo jako fundament ludzkiej egzystencji, słowo jako „lustro” rzeczywistości, słowo wobec Absolutu, granice, poza którymi słowo staje się bezsilne, słowo w debacie, słowo w homilii i w reklamie, słowo wobec twórczej wyobraźni, słowo, które naucza, i słowo wobec zła. Prezentujemy też sylwetki myślicieli, dla których słowo stało się warsztatem pracy i którzy w swoich tekstach okazywali szczególną wobec niego pokorę w przekonaniu, że służąc słowu, służą prawdzie.

Mamy nadzieję, że lektura artykułów o słowie pozwoli czytelnikom na chwilę przewyciężyć napór obrazów, z którym zmagają się współczesna kultura, i zatęsknić do głębszej obecności w naszym życiu słowa żywego, czystego, trafnego – słowa, które wie, kiedy oddać głos milczeniu, tak jak czyni to w wierszu haiku japoński poeta Taigi: *Popatrz jak pięknie / rozjaśniła się w słońcu / powierzchnia śniegu*.⁷

D.CH.

1 Por. P. Ricoeur, *O interpretacji. Esej o Freudzie*, tłum. Maciej Falski, oprac. R. Reszke, Wydawnictwo KR, Warszawa 2009, s. 42.

2 Zob. „Ethos” 24(2011) nr 3(95), „Filozof osoby. Tadeusz Styczeń SDS (1931-2010)”.

3 Zob. M. Foucault, *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych*, tłum. T. Komendant, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006.

4 Tamże, s. 5.

5 Tamże.

6 Cyt. za: S. Bellow, *Wykłady jeffersonowskie*, w: tenże, *Suma po przemysleniach. Od niewyraźnej przeszłości do niepewnej przyszłości*, tłum. T. Bieroń, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 1998, s. 157.

7 *Haiku*, tłum. A. Żuławska-Umeda, Ossolineum, Wrocław 1983, s. 248.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.